

odgłosy



11 (695)
14. III. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

RYSZARD BIŃKOWSKI

Było siedmiu synów

Kiedy wraca z pracy, nie siada do stołu, lecz chwytą w ramiona małą Sylwię i odbywa z nią kilkakrotnie galop po pokoju. Patrzy na nią z troską, z miłością, gdyż przyszła na świat drobniutka, nie donoszona, a on bardzo kocha dzieci; ponieważ w jego rodzinie była cała siódemka, ale samych synów, więc ta córka jest czymś niezwykłym...

Ma trzydzieści jeden lat, jest magistrem inżynierem racjonalizatorem. Przywykł do życia w wielkim mieście, wrósł w jego powszedni dzień, ale częstokroć wraca wspomnieniem do chaty z polemą, z naftówką, do zawałonego gnojem podwórka w podłej wsi na Ziemi Łódzkiej. A bywa i tak, że w tajemnicy przed żoną wymyka się na wieś. Chwyta kosę, grabie, lub rączki od pługa i wyrusza w pole. Niektórzy pukają się w czoło na zachcianki magistra, ale większość twierdzi, że równiacha z niego, nie sztywniak.

Jest magistrem, racjonalizatorem, mieszka w bloku, nowoczesnie, przeto w całej historii nic nadzwyczajnego, awans pokolenia po prostu. A jednak...

Gdy wychodzi z bramy, po drugiej stronie al. Politechniki widzi całe w szkłe piętra akademika. Studenciaki wkuwają, poczytują książki, grają w brydża i narokotyzują się jazgotem tranzystorków. I on wtedy wspomina Tę orkę szkolną, potem kamienistą drogę przez studia...

*

Przeżył wysiedlenie, rok dzieciństwa u „bambra”, dywanowy nalot aliancki w 1945. Potem obóz przejściowy i półroczną, podjętą samorzutnie przez ojca wędrówkę do Polski. Piechta, autem, rowem, statkiem, bydłem wagonem. Dziewiątka ich była i ciągnęli do swej siedmiohektarowej, powojennej biedy tak, że kiedy poszedł do powszechniaka w 1947,

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GWARANCJA

Niecierpliwość jest złym doradcą, a wielu z nas stało się niecierpliwymi. — Co dalej? — pytają, zapominając, że proces powrotu do właściwych norm życia politycznego i społecznego nie może dokonać się z dnia na dzień. Bardzo często pytając: co dalej? — szukają tylko zewnętrznych oznak nowego stylu działania, oczekują zmian personalnych, jakby tylko one dawały gwarancję dokonujących się procesów. Rzecz przecież nie tylko w zmianie ludzi, rzecz w zmianie sposobu myślenia, w innym sto-

sunku do rzeczywistości. A to nie jest proces, który może dokonać się w ciągu dni i tygodni. W programowym przemówieniu Edwarda Gierka na VIII Plenum KC PZPR powiedziano przecież wyraźnie, że rzeczywistą gwarancją może być tylko sprawne funkcjonowanie wszystkich form demokracji socjalistycznej.

„W tych warunkach — mówił Edward Gierek — w działaniu sprawdzana będzie wartość działaczy partyjnych, kontrolowana ich postawa, ujawniane ich zdolności i możliwości spełniania od-

powiednich obowiązków. Powstanie w ten sposób stale działający mechanizm doboru kadr, który najbardziej wartościowym otwierać będzie drogę do trudniejszych obowiązków, który zapewni partii wychowanie i wylanie energii działaczy, potrafiących sprostać potrzebom rozwojowym partii i państwa”.

Taka jest wytyczna partyjnej polityki kadr. Taka ma być ona teraz i w przyszłości. Czy do przeszłej polityki kadrowej nie możemy mieć pretensji? Nie tylko możemy, ale powinniśmy, gdyż

była to polityka, w której bardziej liczyła się funkcja niż człowiek, który ją piastował. Powodowało to, że dobierając ludzi do odpowiednich stanowisk, nie tyle brano pod uwagę ich rzeczywiste kwalifikacje, wiedzę i doświadczenie, co staż i uznanie. Dobierano raczej wykonawców niż ludzi z inicjatywą, umiejących samodzielnie myśleć, decydować i ponosić odpowiedzialność za te decyzje. Dlatego też ciągle jeszcze ludzie odchodzą z zajmowanych

Dalszy ciąg na str. 4



Niedziela, kiedy oddaje komentarz do druku, NA BLISKIM WSCHODZIE przebiega pod znakiem oczekiwania i napięcia. Rano przestało obowiązywać kolejne zawieszenie broni, a rozmowy przedstawicieli czterech wielkich mocarstw zostały przerwane. Wczoraj, a więc już w kilka godzin po wygaśnięciu wzajemnych zobowiązań, prezydent ZRA — Sadat wygłosił ma przemówienie. Co ono przyniesie? To pytanie w niedzielnych materiałach agencyjnych powtarza się najczęściej. Przecież to nie z winy strony arabskiej wielomiesięczna przerwa (od sierpnia ub. roku) nie została należycie wykorzystana do zapoczątkowania politycznych rozwiązań. Brak postępu spowodowany jest ciągłą odmową Izraela wycofania wojsk z okupowanych terytoriów. W przedstawionym w piątek Radzie Bezpieczeństwa raporcie U Thana stwierdza się to wyraźnie: stanowisko Egiptu na wezwania Jarringa jest pozytywne, natomiast brak potwierdzającej odpowiedzi Izraela na propozycję zobowiązania się do wycofania wojsk. W tej lapidarniej formule zawarta jest ocena postawy zainteresowanych stron, a zarazem istota napięcia bliskowschodniego.

Sytuacja jest trudna. Przestało obowiązywać postanowienie, zakazujące działań militarnych. Fakt ten, przy dobrej woli, nie musi oznaczać wymiany ognia. Czy jednak Izrael okaże tę dobrą wolę, jeśli nie zaprezentował jej dotychczas? Tak więc znów z napiętą uwagą śledzić będziemy depesze agencyjne z Bliskiego Wschodu.

Tymczasem przenieśmy się w inny rejon niepokoju — DO INDOCHIN. Interwencja w Laosie trwa i nie przynosi Stanom Zjednoczonym spodziewanych wyników. W prasie amerykańskiej ma ona zle „notowania”. Nixon postanowił więc wykazać, że jego program wycofywania się z wojny indochińskiej jest realizowany. Udowodnienie tej tezy jest dla prezydenta USA konieczne wobec perspektyw przyszłorocznych wyborów. Na 28-minutowej konferencji prasowej aż 20 minut poświęcił więc tematycie indochińskiej. W dość karkołomnym wywodzie starał się przekonać dziennikarzy, że operacja laotańska pozostaje w ścisłym związku z jego planem... redukcji oddziałów amerykańskich. Przy okazji po raz pierwszy przyznał, że celem USA nie jest przyprowadzenie pokoju w Indochinach, ale jedynie wycofanie ich wojsk.

Starał się też uspokoić obawy opinii publicznej przed dalszym rozszerzaniem działań wojennych. Nie wykluczył jednak możliwości ataku wojsk sajskońskich na DRW, stwierdzając tylko, że w USA nie rozważa się takich planów. Zaraz potem w jego wystąpieniu nastąpił długi wywód na temat tzw. reakcji obronnej, a więc okoliczności, w jakich zaangażowanie militarne byłoby możliwe. Komentatorzy oceniają nie bez słuszności, że wszystko to jest dwuznaczne. Zamiast zatem uspokoić opinie, jak to było w jego zamiarze, ponownie zaniepokoił.

Nixon poświęcił nieco uwagi BLISKIEMU WSCHODOWI, mówiąc głównie o gwarancjach, jakie byłyby potrzebne ze strony wielkich mocarstw dla zapewnienia bezpieczeństwa granic Izraela oraz ROZMOWOM SALT. W tej ostatniej sprawie wyraził pewien optymizm co do szans osiągnięcia porozumienia z ZSRR, chociaż podkreślił, że nie jest w stanie przewidzieć, kiedy to nastąpi. Porozumienie — dodał — nie może jedynie obejmować systemów broni defensywnej.

Nieco miejsca w dzisiejszym przeglądzie poświęćmy także kryzysowi politycznemu w PAKISTANIE.

7 grudnia ub. roku odbyły się tam wybory parlamentarne. Przyniosły one zdecydowaną porażkę partii konserwatywnych. W nowym parlamencie 80 proc. mandatów przypadnie Lidze Awami oraz Partii Ludowej. Pierwsza partia reprezentuje Pakistan wschodni, druga — zachodni. A że obie części oddzielone są pasem terytorium Indii, szerokości ok. 1700 km, różnią się znacznie. Obie części łączy osoba prezydenta, rząd centralny i ogólnopakiistański parlament, każda ma własne rządy i zgromadzenia parlamentarne.

Zgromadzenie Narodowe ma wypracować nową konstytucję, która nada republice federacyjny charakter. Rzecz jednak w tym, że istnieją zasadnicze różnice zdań co do treści i formy tej federacji. Przywódcy obu partii: Ligi Awami — Rahman i Partii Ludowej — Bhutto mają nie tylko odmienne poglądy na temat merytorycznej treści konstytucji, ale i polityczne. Bhutto znany jest z sympatii prochińskich, Rahman opowiada się za realizacją współpracy z Indiami, pierwszego prasa nazywa rzecznikiem zachodniopakiistańskiego nacjonalizmu, drugiego — rzecznikiem wschodniopakiistańskiego regionalizmu.

Niemożliwość porozumienia się w sprawie konstytucji wywołała ostatnio krwawe zamieszki. Na znak protestu przeciwko odwołaniu sesji parlamentu, co Rahman uznał za spisek, we wschodniej części kraju doszło do strajku i poważnego wzrostu napięcia. Wezwania prezydenta Khana do spotkania się przywódców politycznych w dniu 10 marca, uznano za ultimatum, grożące użyciem armii. Trwająca więc od 23 lat walka Pakistanu wschodniego o większą autonomię przybiera obecnie dramatyczne formy. Jaki będzie jej finał? Wydaje się, że decydującą rolę odegrają prezydent i armia, którzy dążą do takiej jednności, która by zapewniła bezpieczeństwo kraju. Czy i co zyska na tym wschodnia część kraju, o której program Rahmana mówi, że jest wyszklawiana — mimo, iż sład wpływa większość dewiz — zobaczymy wkrótce.

Na razie kryzys pakistański trwa...

W. SŁAWSKI

Zawszgd o wszystkim

System

„TIME” — NOWY JORK

W tych dniach, w cztery lata po wyroku sądowym na szkodę państwa, Rencenia podatków i działalność na szkodę państwa, Robert Baiker, lub — jak nazywają go przyjaciele — Bobby, został osadzony w więzieniu w celu odbycia zasądzonej kary.

Początki tej afery sięgają roku 1963. Wówczas to ujawniono, iż Bobby Baiker, protegowany Lyndona Johnsona, zajmujący wpływowe stanowisko sekretarza większości demokratycznej w senacie. Jest po stronie pograżony w aferach korupcyjnych. Baiker, wykorzystując swoją funkcję, sięgnął do kasy partyjnej, jak również brał łapówki, a za zdobyte tą drogą pieniądze nabył w jednym z miast w stanie Maryland hotel „Carusel”.

Na krótko przed rozstaniem się z wolnością, Bobby zorganizował spotkanie z dziennikarzami, na którym powiedział wprost, że nie

sam przywłaszczał sobie pieniądze z funduszy partyjnych oraz „prezenty”. Jak utrzymuje Baiker, dysponował on „prezentami” wyłącznie na polecenia odgórne, a poza tym również dlatego, że na tym opiera się cały amerykański „system”. Baiker nie widzi, co by zasługiwało na potępienie: „Lyndon Johnson inwestował w radio i telewizję. George Murphy dostawał pieniądze od kompanii Technicolor”. Dlaczegoż bym i ja nie mógł zajmować się biznesem?...”

Waszyngtońskie grube ryby, jak się okazało, rozumieją Bobby Baikera i okazują mu współczucie. Kilka dni przed zamknięciem go w więzieniu, Bobby otrzymał pożyczki w kilku stołecznych bankach, na łączną sumę przeszło 500 tysięcy dolarów na powiększenie swych posiadłości w stanie Maryland...

Czy kres waśniom?

„L'EXPRESS” — PARYŻ

Po 15 latach równie zaciekłych co i gwałtownych sporów, parlament belgijski zaaprobował niedawno reformę konstytucji. Obowiązywała ona w Belgii od przeszło 170 lat.

Już od samego początku powstania niepodległej Belgii w roku 1830, jej dwa narody — Flamandowie i Walonowie — znalazły się w różnych warunkach. W XIX wieku północne — flamandzkie rejony kraju — pozostawały daleko w tyle pod względem stopnia rozwoju gospodarczego, za południowymi rejonami Belgii. Na walońskim południu, graniczącym z Francją, powstawała warstwa zamożnej burżuazji przemysłowej, posiadająca kopalnie węgla i zakłady metalurgiczne oraz wiodąca prym w politycznym życiu kraju.

W XX stuleciu, a zwłaszcza w ostatnich jego dziesięcioleciach, rozwój rejonów południowych uległ gwałtownemu zahamowaniu. W tym samym czasie zmienia się sytuacja na flamandzkiej północy.

Japońska fabryka na Kubie

„FINANCIAL TIMES” — LONDYN

Informacja, iż japońska firma „Chino” zbuduje na Kubie fabrykę montażu samochodów, wzbudziła ogromną sensację wśród zachodnich kół handlowych. Fakt ten świadczy o nasilaniu się walki konkurencyjnej o rynek kubański między przemysłowcami krajów kapitalistycznych. (Wiadomo, że Hawana zabiega o dostawę samochodów ciężarowych i autobusów, aby uzupełnić braki w parku samochodowym, spowodowane ekonomiczną blokadą kraju przez Stany Zjednoczone). Zagranicznych przemysłowców interesuje Kuba z dwóch powodów, które są zresztą charakterystyczne dla państw socjalistycznych: możliwość otrzymania dużych zamówień oraz braku jakichkolwiek trudności płatniczych.

Pierwsza dostrzegła to, i naruszyła ustanowione przez Waszyngton embargo na handel z Kubą — Anglia. „British Leyland Motors”, ignorując niezadowolone USA, był pierwszą zachodnią kompanią, która udzieliła Kubie długoterminowych kredytów i sprzedała jej 950 autobusów.

Jednakże z upływem czasu „Leyland” utracił swoją wiodącą rolę, zwłaszcza po zamówieniach, jakie złożyła

fabryka samochodów w mieście Matanzas. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja. W tym celu wyjechała do Kuby, aby zobaczyć, jak się tam sytuacja.

Bez względu na pogodę

„SPIEGEL” — HAMBURG

Moskwę spowijała gęsta mgła. „Izwestia” pisały, że tak beznieżnej i ciepłej zimy nie było od XIII wieku. Kaprysy pogody pomieszały nieco plany delegacji zachodniemieckich przemysłowców, która przybyła do Związku Radzieckiego z tygodniową wizytą. Najbardziej reprezentatywny skład najwyższych kapłanów ekonomiki NRF, jaki kiedykolwiek wyruszył znad brzegów Renu do Moskwy, zagubił się we mgle.

Prezydent Izby Handlowej — Wolf von Amerongen, szef koncernu chemicznego „Bayera” — Kurt Hansen i prezes firmy „Mannesmann” — Egon Owerbeck wyładowali we Lwowie. Generalny dyrektor koncernu „Salzgitter” — Hans Birnbaum i prezes zarządu Zakładów „Siemensa” — Paul Daks znaleźli się w Londynie, dokąd rzuciła ich burza śnieżna.

Prezes giganta chemicznego „BASF” („Badische Anilin und Soda-Fabrik — red.) — Bernard Timm, szef koncernu „Farbwerke Hoechst” — Rolf Sammet oraz prezes zarządu zakładów metalurgicznych „Gutehoffnungshuette” — Dietrich Wilhelm musieli czekać bezczynnie na swych kolegów w moskiewskim hotelu „National”.

Zachodniemieccy przemysłowcy, zmęczeni i podnieceni, dotarli do stolicy Związku Radzieckiego z opóźnieniem całego dnia. Tak więc galowe przybycie delegacji w pełnym składzie, pomysłane jako demonstracja siły niemieckiej ekonomiki, spaliło na panewce.

Od czasu, gdy w Bonn zaczęto wlecielać w życie „nowa politykę wschodnią”, przemysłowcy Niemiec zachodnich czynią usilne starania, aby rozszerzyć stosunki handlowe ze Związkiem Radzieckim. Zeszłego roku obrót handlowy pomiędzy obu

krajami wyniósł blisko 3 miliardy marek.

Zachodniemieccy biznesmani z zadowoleniem skorzystali z zaproszenia rządu Związku Radzieckiego i wyruszyli w podróż.

Chociaż zawarcie transakcji i umów handlowych przeciągało się i zajęło więcej czasu niż oczekiwano, przedsiębiorcy mieli nadzieję, iż tak reprezentatywnej delegacji uda się temu działaniu nadać nowy impuls.

Przedstawiciele przemysłu zachodniemieckiego złożyli wizytę ministrowi handlu zagranicznego ZSRR, N. S. Patoliczewowi. Przez półtorej godziny odbywała się ożywiona wymiana poglądów, dezyderatów i ofert, dotyczących problemów handlu pomiędzy ZSRR i NRF.

Szef koncernu „Bayera”, Kurt Hansen, spytał radzieckiego ministra, dlaczego zachodniemieckie firmy nie mają prawa nawiązania kontaktów handlowych bezpośrednio z przedsiębiorstwami radzieckimi. Na przykład sprzedając środki owadobójcze trzeba koniecznie znać klimatyczne właściwości rejonu, w którym zamierza się je używać. Patoliczew odpowiedział: „Nasze ministerstwo ma monopol na handel zagraniczny i nie zamierza z niego zrezygnować. Ale przecież nie rozciąga się on ani na kontakty osobiste, ani na rozmowy”.

Szef firmy „Mannesmann”, Owerbeck, przejął zainteresowanie eksploatacją pokładów węgla w ZSRR. Von Menges spytał o możliwości partycypowania w wydobyciu radzieckiej miedzi. Gdy zachodniemieccy biznesmani poinformowali o gotowości zawarcia umów handlowych, minister handlu zagranicznego Związku Radzieckiego odpowiedział, że rozmowy przeciągały się aż do tego czasu bynajmniej nie z winy Związku Radzieckiego.

Dlaczego eksplodują tankowce

„FAR EASTERN ECONOMIC REVIEW” — HONGKONG

Gdy supertankowiec „Marpessa” płynął wzdłuż brzegów Senegalu po ładunek ropy naftowej do jednej z bucht w Zatoce Perskiej, jego załoga przemyciała próżne zbiorniki tankowca silnymi strumieniami wody morskiej. W pewnej chwili gwałtowny wybuch dosłownie rozerwał na połowę ogromny, niedawno zbudowany statek. Zatonął on na głębokości wykluczającej możliwość ustalenia przyczyn tego wypadku.

Dwa tygodnie później supertankowiec „Maktra” eksplodował w Cieśninie Mozambickiej. W dzień po tym, w wyniku gwałtownego wybuchu, zatonął liberyjski tankowiec „Kong Haakon VII”. W lecie ubiegłego roku zatonęło jeszcze kilka takich wybuchów na tankowcach. Ich przyczyny pozostawały przez długi czas zagadką, której nie umieli rozwiązać ani uczeni, ani specjaliści z zakresu transportu ropy naftowej.

Niedawno tajemnica ta — jak wszystko na to wskazuje — została wreszcie wyjaśniona. Na międzynarodowej konferencji poświęconej zjawisku wyładowań elektrycznych i statyki elektrycznej, fizyk Edward Pearce wysunął tezę, iż strumienie ciepłej wody morskiej, wyrzucane pod wielkim ciśnieniem na ściany zbiorników tankowca są zdolne do wytworzenia ładunków elektrycznych, połączonych z efektami burzy letniej. I chociaż iskry, powstające w wyniku przemycania zbiorników,

nie wywołują zjawiska uderzenia pioruna, to jednak mogą wywołać wybuch mieszaniny chemicznej, składającej się z powietrza i par nafty.

Wniosek ten wyprowadził Pearce na podstawie eksperymentu — zgłosił go w laboratorium — który przeprowadził we własnej wannie. Stwierdził, on, iż w toku pierwszych pięciu minut natrysku wody z przysnieną na ścianki wanny, natężenie pola elektrycznego w łazience stale rosło. Powstający ładunek elektryczny, w tym konkretnym wypadku, nie stwarzał wprawdzie niebezpieczeństwa dla otoczenia, ale — analogicznie — zjawisko to przebiegałoby inaczej w warunkach zbiorników o ogromnej pojemności, które mają setki tysięcy metrów sześciennych objętości.

Pearce wyliczył, iż w wyniku 45-minutowego przemycania zbiorników silnymi strumieniami wody morskiej, może lokalnie powstać ładunek elektryczny rzędu kilku tysięcy woltów.

Obecnie, aby zapobiec akumulacji elektryczności statycznej na tankowcu, zapelnia się próżne zbiorniki gazami nieaktywnymi, np. azotem. Jednakże azot jest bardzo drogi. Pearce wyszedł więc z propozycją stosowania pewnych chemikaliów oraz bezwarunkowego instalowania wewnętrznych odgromników. Konieczność stosowania najdalej idących środków ostrożności jest oczywista.

Było siedmiu synów

Dalszy ciąg ze str. 1

bracieńce wykradali sobie pospołu drewniaki, których było dwie pary, a chęć do nauki nie miała.

Ale jeszcze wtedy nie miał nic wspólnego z elektryką, pasał krowy, toczył po opłokach fajerkę na drucie i brzechtał się z rówieśnikami w pełnym błota gromadzkim stawie. Wieś była bez światła, pewnie to zaważyło, podsycało wyobraźnię i ciągnęło jak diabli do tego magicznego świata elektryczności. Był nawet członkiem kółka fizycznego, lecz o dalszej nauce nie myślał. Kumpel z zawodówki jał wtedy czarować o różnych cudach, jakie tam poznaje, ojciec też namawiał (grunt dla starszych braci miał być przekazany), przeto w 1954 zaciągnął się do Zasadniczej Szkoły Elektrycznej w Łodzi.

Szedł w przetartych ciuchach, bez śniadań, wstawał o piątej, wracał o szesnastej. Nie było się kiedy uczyć, czekała robota w gospodarstwie i pewnie dlatego był tylko przeciętnym uczniem. Ale stypendium, bez haka, na okres, utrzymał przez całe dwa lata.

Ojciec nie doczekał, zmarł w marcu 1956, a on w czerwcu skończył zawodówkę, lecz ojcowej woli nie spełnił — nie poszedł do dalszych szkół. Chciał się ubrać, zabawić i pokazać wsi, że nie na próżno zasuwał co dzień te dwadzieścia kilometrów w te i wewte.

Zakotwiczył się w bawelnianej budzie, stukał młotkiem w ściany, wymieniał żarówki i bezpieczniki. Nic nowego, praca mało atrakcyjna. Wtedy trafił na kolegę, który go namówił na technikum. A że do Technikum Energetycznego dla Pracujących przy Skrzywiana przyjęli go do drugiej klasy bez egzaminów, toteż nawet nie myślał, ile go będzie kosztować ten krok. I tak z pewną przekorą zaczął mierzyć się z własną młodością. Zwolna budziła się w nim ciekawość, jeszcze bowiem w zawodówce założył w chalupie ikonowe światelko, podłączając wiatraczek przez szpulkową przekładnię do małej prądniczki. No i teraz zaczęło się...

*

— Przyszła do wsi kultura. Głośnieki. Ale ja ich nie słuchałem. Głośnieki budził mnie o piątej. Śniadania nie zdążyłem zjeść. Prosto z fabryki szedłem do szkoły, na 15.30. Zajęcia trwały do dwudziestej, więc do domu wracałem około 23.

Spał cztery — pięć godzin na dobę. Zasympał w roztrzęsionym tramwaju. Na stojąco. Przysiadął przy polnej drodze. Miał głód i wyczerpanie. Tak, z głodu, bo wskutek przemęczenia nie mógł nic jeść. Wieś patrzyła z boku, bracia pomóc nie mogli, wierzyli w jego siłę i sa-

modzielność, której oni wszyscy uczyli się od dzieciństwa.

Przetwał cztery lata. W międzyczasie założył nowy kombinizon i zaczął budować łódzka elektrociepłownię. Ciągnął kable w ziemi, na świeżych murach tej potężnej budowy. A kiedy w czerwcu 1960 otrzymał dyplom technika, poczuł się cholernie zmęczony. Na jesieni powołano go do odbycia służby wojskowej. Założył więc mundur i ani przez chwilę nie pomyślał, że jeszcze kiedyś stanie przed wysoką komisją egzaminacyjną, i że on, chłopak ze wsi podłej, będzie kiedyś na kierowniczym stanowisku, pośród automatów błyskających ślepiami czujników i tarcz w rozedrganych wskazówkach.

*

Podczas tego urlopu wymigiwał się przed kolegą z technikum, jak tylko potrafił. Zastawiał się nawet żeniączką.

— Nie jesteś słaby — powiedział tawten. — Wyrobiłeś technikum, to i teraz dasz radę. Możesz zawsze spróbować, nie? A papiery sam ci złożę w uczelni.

Nie wierzył że zda. Ale kiedy przyszło zawiadomienie o terminie egzaminów, obłożył się podręcznikami i kuł po nocach i dniach, w każdej wolnej chwili. Nie korzystał z przepustek. Przed wysoką komisją stanął w mundurze, trochę roztrzęsiony, ale szybko się uspokoił sądząc, że gdyby nawet nie zdał, to i tak zażyje tego czternastodniowego urlopu. Czuł, że zdaje słabo, zwłaszcza fizykę; choć trzy podręczniki przetrawił, ale tego przedmiotu w technikum prawie wcale nie było. Po egzaminach pozęgłował na wieś. Pohulał i popił, jeszcze z lekkim mętłem w oczach przyszedł zerkać na wvniki. Był na liście! Śmiał się wtedy jak wariat. Okazało się, że z matmy i fizyki zdał najlepiej ze wszystkich.

Miesiąc przed terminem zrzucił mundur, kupił kajet i poszedł w październiku 1962 r. na Politechnikę. Jednocześnie zaczął budować nowe, wielkie zakłady — łódzka „Elte”. Ale miejsce pracy było bardzo odległe a on wciąż dojeżdżał ze wsi, więc przyszedł do energetyki, ale to nie było to, czego szukał. Zmienił pracę i związał się na stałe z automatyką elektrownianą.

Teraz wracał do domu około północy. Przez deszcz, wiatr, pod zimnymi ćwiekami gwiazd. Ale nie miał chwil załamań i nie myślał o przerwaniu studiów. Był ambitny, unarty, ale nie chciał się „wykazywać” przed wsią. W tych uciążliwych dniach założył u brata wiatrak z prądnicą od dzemsa. Na pięć lat przed elektryfikacją północy światła, ludzie gromadami schodzili i cmokali z podziwem.

Po trzech latach przeniósł się na stację do miasta. Odbiwał te studia metodą sportową. Rwaniem tempa. Najpierw szport potem odpoczynek.

W 1969 r. zdobył dyplom magistra inżyniera z wynikiem dobrym. Ale zanim to nastąpiło, zrobił całej wsi niespodziankę, przewożąc do chaty przysła żonę tuż przed ślubem, który odbył się w tym samym dniu.

Potem przeniósł się na mieszkanie tuż pod samą Łodzią. I tu przeżył tragedię. Urodzona przedwcześnie córeczka zmarła w szpitalu. Zaniosł małą trumienkę na cmentarz, stał nad grobem i po raz pierwszy nłakał. Miał jeszcze przed sobą rok studiów.

*

Znaia go w zakładzie i cenia. Załatwili mieszkanie w blokach, trudne, kłopotliwe formalności z zameldowaniem. Pracuje w automatyce elektrownianej siedem lat i jest specjalistą w tej dziedzinie. W ubiegłym roku uzyskał 10 tysięcy złotych nagrody za ulepszenie w zakresie urządzeń bhp. Twierdzi ze skromnością, że to

nie jego zasługa, lecz całego zespołu, gdyż racjonalizatorstwo jest bardzo pracochłonne i wymaga współpracy kolektywu. Nie chce wspominać o dziesiątkach różnych ulepszeń, ważnych dla zakładu, ale kwalifikujących się do nagród niższego rzędu. Zwracał uwagę podległych mu pracowników na pewne możliwości ulepszenia jakiegoś elementu i cieszył się wraz z nimi, gdy znajdowali pozytywne rozwiązanie. Nie chce sam zbierać laurów, jest szczerzy i uczciwy. Najbardziej drażni go biurokracja. Bo każde ulepszenie, nawet drobne, wymaga obszernych opisów, opinii kilku czynników, podpisów. To są cienie tej ciekawej pracy. Oczywiście, można by było wszystko załatwić prościej, poprzez doradne, okolicznościowe premie, ale na razie jest to tylko projekt.

Taki jest w pracy. Poza nią ma dom, żonę, maleńką Sylwię i... marzenia. Chciałby budować statki kosmiczne. Chodzi po księgarniach, wyszukuje książki z dziedziny astronomii i astronautyki. Wieczorami śleczy nad kolumnami cyfr, nad wykresami. Szuka błędnie wyliczonych elementów, bo chciałby w naszych klubach sportowych usprawnić urządzenia do sędziowania walk szermierczych. Trochę romantyk i marzyciel. Drobny, jasnowłosy, jasnooki chłopak o życzliwym uśmiechu. Z podłej wsi przyszedł drogę do automatów. W jego życiorysie jest zapewne zawarta historia awansu pokolenia z rocznika 1940, ale droga do tego awansu nie wydaje się być typowa.

RYSZARD BINKOWSKI



KONRAD FREJDLICh

EPITAFIUM NA JUBILEUSZ „OSNOWY”

„ŁÓDŹ I JEJ PROBLEMATYKA, ZWŁASZCZA KULTURALNA, ODGRYWA TAK POWAŻNĄ ROLĘ W SKALI OGÓLNOPOLSKIEJ, ŻE TYLKO W OSNOWIE SPRAW OGÓLNYCH MOŻE UZYSKAĆ WŁAŚCIWY SWÓJ WYMIAR, A SPRAWY OGÓLNE W OSNOWIE SPRAW LOKALNYCH PRAKTYCZNY SWÓJ SENS”.

Słowa te, napisane w roku 1963, były czymś więcej niż tylko objaśnieniem nazwy publikacji zatytułowanej „Osnowa”. Odzwierciedlały przecież lapidarnie stopień zaawansowania kulturalnego i naukowego Łodzi, a zarazem ambicję miasta, w którym aktywność ta znalazła zrozumienie i uznanie. Bo „Osnowa”, wtedy jeszcze w niedoskonale, almanachowym kształcie stanowiła namacalny dowód tego zrozumienia i uznania. Fundusze dało miasto. Zda-

wało się także, że ukazywanie się „Osnowy” wienczy długie starania pisarzy o czasopismo literackie mające ogólnopolski, ponadlokalny zasięg i problematykę.

Ale powstanie „Osnowy” miało jednocześnie znaczenie nieporównanie głębsze. Nie od dziś przecież wiadomo, że warunkiem prawidłowego rozwoju kultury i nauki, a nawet ich rozwoju w ogóle, jest wymiana wartości między ośrodkami, w których wartości te powstają. Międzyrodowiskowa i ponadregionalna trybuna stwarzała szansę dalszego postępu Łodzi w tych ważkich dziedzinach, a słowa objaśniające nazwę periodyku stanowiły zarazem program działania na przyszłość, który i dziś, po upływie lat dziewięciu nie stracił swej aktualności. Rzeklibym nawet, że zyskał dodatkowe impulsy. W ciągu tych dziewięciu lat łódzkie środowiska twórcze i naukowe znacznie się przecież rozrosły.

Chce się w tym momencie przywołać stwierdzenie Renana: „Dobre i użyteczne jest marzenie; pod tym jednak stałym warunkiem, aby je zawsze brano za to, czym jest”. Można pomyśleć, że ten fragment dialo-

gu filozoficznego o naturze wszechświata odnosi się wyłącznie do „Osnowy” w czterech pierwszych latach jej istnienia, kiedy nosiła jeszcze podtytuł „Almanach literacki”. Bo założenia założeniami, a przecież sztywna, statyczna i wręcz archaiczna formuła almanachu ukazującego się raz w roku w tych warunkach nie mogła się sprawdzić.

A przecież pomimo stałej improwizacji organizacyjnej (każdy zeszyt mógł się okazać ostatnim) czteroletni, pionierski dorobek „Osnowy” zasługuje na szacunek. Obok prezentacji oryginalnej i przekładowej twórczości pisarzy łódzkich „Osnowa” podjęła ożywioną działalność krytyczną, przedstawiając sylwetki Stanisława Czernika, Mariana Piechała, Jarosława Marka Rymkiewicza, Bernarda Sztajnerta, Witolda Wandurskiego, Ukazało się na jej łamach wiele szkiców, poświęconych łódzkiemu teatrowi (St. Kaszyński i Wł. Orłowski). Sporo uwagi poświęcił almanach nauce, zwłaszcza humanistyce (J. Dylak, W. Lipiec), wykazał także zainteresowanie publicystyką, która jednak, jako pisana z rocznym wyprzedzeniem, nie mogła nadażyć za wydarzeniami

i niekiedy się z nimi rozmięła. I ten wysiłek z czasem zdecydował o nikłym rezonansie społecznym publikacji „Osnowy”, która startowała z przegranych pozycji. Można było formułę periodyku udoskonalać, co rzeczywiście robiono, ale granice manewru były ściśle określone. Toteż, o czym już była mowa, wszystkie te wysiłki w ostatecznym rachunku przyniosły rezultaty dalekie od zamierzonych. Był to wszakże kryzys możliwości technicznych nie inicjatywy. Mecenaz (miasto) nie dotrymał kroku swym podopiecznym (pisarzom). Cała reszta była już tylko logicznym następstwem tego zawodu.

Nie więc dziwnego, że środowisko pisarskie podjęło dalsze starania o wyposażenie „Osnowy” w rzeczywiste atrybuty ogólnopolskiej trybuny. Pamiętam burzliwe zebrania literatów, gdzie sprawa „Osnowy” przez całe lata nie schodziła z porządku obrad, wracano do niej przy lada okazji. Ich rezultatem stało się to, że w roku 1967, ściśle zaś w zeszycie sygnowanym: Osnowa — Grudzień 1966, znika z łamów periodyku sa-

Dalszy ciąg na str. 8

KONKURS - KONIECZNY

LÓDZ to jedyne miasto, które posiada takie zjawisko jak Piotrkowska. Ulica ta ma klimat, który trudno określić, który kształtują domy — pojedyncze, secesyjne obrazki, może źle opalone, ale nadające tej ulicy specyficzny charakter. Nie zabytki klasy zerowej wprowadzić, ale jedyne w Polsce w takim skupieniu pamiątki architektury klasycystycznej. I o nie warto walczyć, warto zachować, uporządkować starannie, odrzuciwszy ziarno od plewy. A poglądy na to, co ziarno, co plewa, bywają zmienne.

Od kilku już lat SARP uważa, że Piotrkowską należy ocalić w tym, co w niej najistotniejsze. Architekci — sobie i, niestety, między sobą, bo nikt specjalnie nie nadstawia ucha na opinie tej części środowiska, remonty Piotrkowskiej — sobie. Na naszych oczach przerabia się lokal „Orbis”, odbierając mu elewację o specyficznym łódzkim charakterze, tworząc właściwie nie wiadomo co, coś współcześnie (nie nowoczesnie) mdłego i bez wyrazu. Kamienica — po zakończeniu prac — będzie wyglądać jak dama fin de siècle, wygorsetowana, zapięta po uszy, ale w... mini spódniczce.

skiej? Bynajmniej! Dom przy Piotrkowskiej 141 — skromny, ale wysmakowany w proporcjach, nie tylko nie razi swoją „innością”, ale dobrze komponuje się z otoczeniem. Chodzi o to, by każdy, kto „poprawia” Piotrkowską, nie chciał realizować swoich wizji i swoich pomysłów całkowicie oderwanych od specyfiki miasta. Nie jesteśmy przeciwko współczesności. Nasze rozważania o Piotrkowskiej dotyczą właściwie tylko jej odcinka od placu Wolności do Głównej, ale trudno w tym miejscu nie podkreślić piękna proporcji nie dokończonych jeszcze biurowca PSS przy rogu Mickiewicza. Ten dom miasta na pewno nie oszpeści... Ale wracamy do tematu.

Dlaczego się tak dzieje? Dlaczego — każdy, kogo na to stać, może sobie kawałek parteru Piotrkowskiej przerobić tak jakby postępował z własną sypialnią? Mówią o każdym, mam tu na myśli i handel, i „Orbis”, i gastronomię, i przeróżne instytucje. Po prostu dlatego, że ci, którzy zajmują się z doskoku tymi sprawami — mowa i o architektach i o plastykach — albo posiadają umiejętność wpisania się w otoczenie w sposób harmonijny, albo nie. Po-

to wyburzeń kilku rozpadających się i tak już ruder, wyrównania gabarytu innych domów, podkreślenia tego, co ładne.

Piotrkowską nie posiada jeszcze ogólnego planu, któremu byliby podporządkowane wszystkie konieczne remonty i przeróbki. Taki plan — projekt powstaje w Zespole Urbanistycznym Łódź — Śródmieście. Dotyczyć będzie jednak tylko Piotrkowskiej. A Piotrkowskiej nie wolno jednak traktować jako zamkniętej całości. Piotrkowska — to ważny, ale tylko — fragment śródmieścia. Fragment, który powinien harmonijnie łączyć się z wdzierającą się w centrum żelbetową współczesnością. Powstaje nowy, równoległy do Piotrkowskiej, ciąg handlowy: drugi łódzki pas centralny — Sienkiewicza — Kilińskiego. Zdaniem SARP-u należałoby stworzyć system powiązań pomiędzy tymi dwoma ciągami. A co bardziej nadaje się do tego, jeśli nie oficyny Piotrkowskiej? Oficyny, które można wykorzystać jako pasaż obudowane lokalami użyteczności publicznej (sklepy, kawiarnie). Niektóre oficyny posiadają już obecnie sklepy, ale jak to wygląda? Powstały przypadkowo, sposobem gospodarczym. Niektórzy wyrażają obawy, że i tak mamy za dużo sklepów. A skądinąd dochodzą słyuchy o potrzebie „usklepowienia” al. Kościuszki, ulicy par excellence komunikacyjnej, przelotowej arterii miejskiej. Ten zabieg znakomicie powiększy wskaźnik wypadków drogowych...

Must więc powstać projekt — nie tylko taki, jaki powstaje w Zespole Urbanistycznym Śródmieścia, czyli projekt odnowy Piotrkowskiej, ale coś, co pójdzie dalej, dzieło znacznie większe. Plan, który pozwoli zintegrować nowo-

mentów, kwartałów domów, projekt, kładący kres dotychczasowej partyzantce „kosmetycznej” na Piotrkowskiej.

Projekt ten nie musi być realizowany natychmiast i w całości, bo liczyć się trzeba z rachunkiem ekonomicznym. Chociaż, ile wpakowano już w Piotrkowską — dotychczas nikt chyba nie obliczył tak naprawdę. Bo to różne instytucje z różnych budżetów, a nawet jeśli z tego samego, to z innej pozycji, inaczej zaksięgowane. A z jakim skutkiem? Ten projekt może być realizowany przez lata pod warunkiem, że generalną ideę projektu będzie się respektowało, że główny architekt m. Łódź nie ulegnie naciskom Bardzo Ważnej Instytucji, która wyrazi życzenie wybudowania sobie 25-kondygnacyjnego lokalu na Piotrkowskiej tam, gdzie przewidziano czteropiętrowy. I pod warunkiem, że ten projekt będzie. Na razie go nie ma.

Władze obiecywały fundusze na konkurs. Teraz już o tym jakoś nie słychać. Denerwują się już tylko SARP-owcy i to ci, którym Łódź jest bliska. Którzy są naprawdę architektami z powołania, a nie z racji zajmowanego etatu. To wolanie SARP-u o konkurs, mamy nadzieję, nie będzie wołaniem na puszczy.

Nie wolno ryzykować, powierzając opracowanie projektu jednemu tylko zespołowi, składającemu się nawet z najlepszych architektów. Stawka jest zbyt duża. Nie ma drugiego takiego zjawiska jak Piotrkowska — dziesięć-nastowieczna i współczesna, łącząca secesyjny wdzięk z dzisiejszym budownictwem. Nie wolno zmarnować możliwości uzyskania rozwiązania jeszcze lepszego. Oddając zlecenie jednemu biur, bez konkursu, można zaprzepaścić szansę uzyskania pracy możliwie najlepszej.

POLONICA

LEONID CYWJAN

Jest mieszkańcem Leningradu, ma 33 lata, ukończył Instytut Technologiczny i pracuje jako inżynier. A jednak — mimo młodego wieku, mimo to, że w czasie swoich politechnicznych studiów nigdy nie uczył się języka polskiego — zaczyna się liczyć jako jeden z wybijających się tłumaczy naszej literatury na język rosyjski. Jego znajomość i jego zakochanie się w polskiej literaturze, przede wszystkim zaś w poezji — zapoczątkowały lektury wierszy K. I. Gałczyńskiego. Było to w roku 1964. I w tymże samym roku Leonid Cywjan rozpoczął swą pracę przekładową tłumacząc i publikując w krótkim czasie „Zaczarowaną drożkę”, „Pieśń”, „Dzikię wino” oraz drobniejsze utwory, m.in. „Ulęc szarlatanów” i „Sześciopięć i chryzantemy”. Za radą i zachętą sekcji tłumaczy Leningradzkiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich Cywjan kontynuował działalność przekładową tłumacząc wiele dalszych utworów Gałczyńskiego, a wśród nich poemat „Bał zakochanych”, „Sante” i „Księżyc”. Następnie zainteresowania młodego tłumacza przeniosły się na poezję Urszuli Kozioł, Wisławy Szymborskiej, Stanisława Grochowiaka, Juliana Przybosi, Jerzego Harasymowicza i Aleksandra Rymkiewicza. Wiele z jego przekładów ukazuje się w zbiorze „Współczesna poezja polska”, który wydawnictwo „Progress” wyda w bieżącym roku. Cywjan tłumaczy również prozę: przełożył „Sklepy cynamonowe” Szulca oraz prozę Andrzeja Struga — w tym roku ukazuje się książka w skład której wejdą opowiadania „Pan i parobek”, „Na sta-

cji” oraz V rozdział z „Dzień jednego poisku”. Godne podziwu są plany Leonida Cywjana na przyszłość: w tej chwili pracuje on nad przekładami polskiej poezji baroku, z klasyki ma zamiar tłumaczyć „Nieboską komedię” i „Irydionę”, a następnie wiersze K. K. Baczyńskiego. Ponadto leningradzki tłumacz przekłada wiele humoresek i aforyzmów (Osęka, Brudziński, Lec), które publikuje w miesięczniku „Aurora” i w „Literaturnej Gazecie”.

Trzeba się cieszyć, że literatura polska znalazła jeszcze jednego oddanego przyjaciela. (MAW)

ZMARŁA
JADWIGA DĘBICKA

W dniu 3 grudnia ubiegłego roku zmarła w Wiedniu wybitna śpiewaczka operowa — Jadwiga Dębicka.

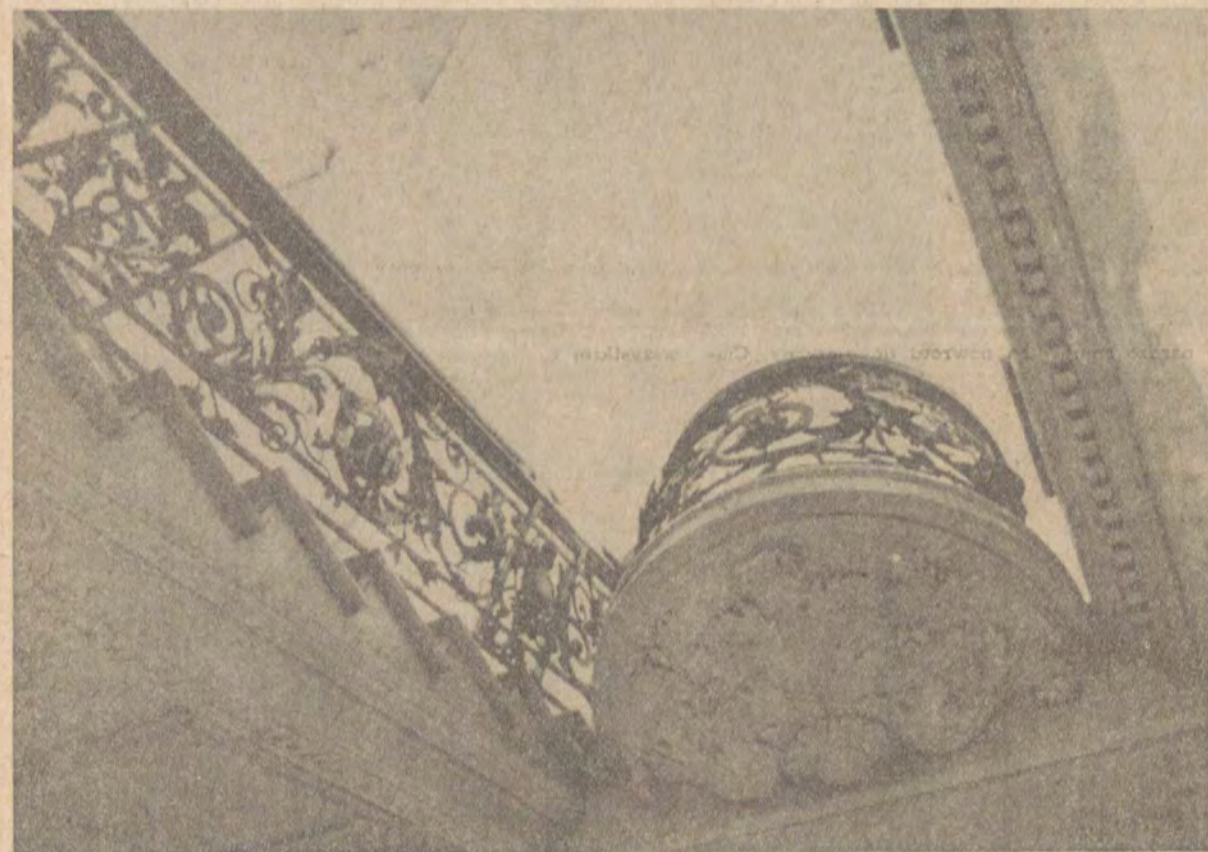
Zmarła była długoletnią artystką opery wiedeńskiej, występowała też na scenach operowych Poznania, Warszawy, Berlina i in. Należała do najświetniejszych sopranów w okresie międzywojennym.

Jadwiga Dębicka (po mężu de Stermich) pochodziła z Żywca w województwie krakowskim. Przed trzema laty po raz ostatni odwiedziła strony rodzinne. Planowała wówczas skorzystać z zaproszenia polskiego świata muzycznego i osiąść na stałe w kraju. Choroba przekreśliła te plany.

Wybitna polska śpiewaczka — Jadwiga Dębicka mocno związana była z wiedeńską Polonią i wraz z mężem, włoskim dyrygentem była częstym gościem „Strzechy”.

Po śmierci artystki austriackie radio nadawało arie operowe w jej wykonaniu w dniu 31 grudnia ubiegłego roku. (er)

POLONICA



Jeszcze jeden remont dawnej „Esplanady” (Piotrkowska 100), a z pięknego zabytku łódzkiej secesji, jaka stanowi jej elewacja, nie pozostanie nic. Dalsze przykłady. Przy Piotrkowskiej 94 wybudowano dom niby ze szkła, ale właściwie bunkrowaty. Nie siedzi w otoczeniu. Czy jesteśmy przeciwko współczesności na Piotrkow-

skiej? Bynajmniej! Dom przy Piotrkowskiej 141, nie posiada autor „Orbis”. Dzieje się tak dlatego, że Piotrkowska nie ma właściwie żadnego do tej pory planu modernizacji. Pod tym pojęciem rozumiemy nie tyle gruntowną przebudowę ulicy, ile uporządkowanie jej, oczyszczenie ze śmieci, co będzie wymaga-

powstające centrum z Piotrkowską. Projekt, który dałby naszym władzom możliwość działania nie tylko obojętne, ale i niekorzystne, remontu ku czci, odmalowania ku pamięci i posprzątania z okazji, ale możliwości systematycznej i konsekwentnej działalności, podporządkowanej generalnej idei, poprzez wykańczanie poszczególnych frag-

GWARANCJA

Dalszy ciąg ze str. 1

stanowisk częściej z powodu choroby lub awansu niż ze względu na brak kompetencji. A przecie trudno powiedzieć, że w polityce kadrowej nie zdarzały się pomyłki i nieporozumienia. Tylko, że w

takim przypadku człowiek niewłaściwie ułokowany powinien mieć na tyle poczucia rzeczywistości i własnej wartości i mieć partyjną i cywilną odwagę, aby przyznać się do braku kompetencji. Dotyczy to ludzi wszystkich dziedzin życia — tak politycznego, jak gospodarczego czy społecznego.

Znam zdolnego konstruktora, którego zrobiono kiedyś dyrektorem wielkiej fabryki. Zdolny konstruktor zarzucił rysownicę i zaczął bawić się w administratora. Wkrótce trzeba było przenieść go do innej miejscowości, a dla ratowania fabryki szukać dobrego dyrektora. Myślę, że z punktu widzenia gospodarki i techniki popełniono kardynalny błąd. Przeszła istnieć zdolny, często nagradzany konstruktor. Nie narodził się też dobry dyrektor. Społeczeństwo poniosło stratę, a człowiekowi sta-

ła się krzywda. Dziś nadal jest dyrektorem, bo w przeszłej polityce kadrowej nie uznawano zasady przywracania ludziom właściwych im w życiu miejsc. Popularnie nazywało się to karuzelą. Myślę, że jest to zjawisko sprzeczne z lenińskimi normami życia.

Mówimy: lenińskie normy życia, ale bardzo często nie precyzujemy, co pod tym pojęciem rozumiemy. W taki sposób może zrodzić się nowe niebezpieczeństwo — posługiwanie się hasłem, pod które każdy będzie podkładał treści z Leninem nie mające wiele wspólnego. Mówmy więc konkretnie, co w danym wypadku oznacza pojęcie lenińskich norm. Jeśli chodzi o sprawy polityki kadrowej, to m. in. w książce pt. „Państwo a rewolucja” W. Lenina, powołując się na Marksa i Engelsa, określili dwie zasady tej

polityki: „nie tylko obieralność, ale i usuwalność w każdej chwili” i „przejdźcie do tego, aby wszyscy pełnili czynności kontroli i nadzoru”. W naszej praktyce odejście od lenińskich norm w polityce kadry wyrażało się przede wszystkim w położeniu nacisku na obieralność, a także w formalnym uznawaniu czynności kontroli i nadzoru. W rezultacie czynności te pełniły do tego powołane jednostki: komisje kontroli partyjnej, Inspekcja Kontrolno-Rewizyjna czy delegatury NIK. Ich działalność jest niezbędna, ale nie wyklucza ona kontrolnej funkcji POP, rady zakładowej czy robotniczej.

Z danych Miejskiej Komisji Kontroli Partyjnej w Łodzi wynika, że w ubiegłym roku nastąpił wzrost wydaleń z partii za łamanie dyscypliny partyjnej i państwowej oraz łamanie zasad socjalistycznej

praworządności. Jeśli w 1969 roku ilość takich wydaleń stanowiła 4,4 proc. wszystkich, to już w ubiegłym roku — 11,6 proc. Podobnie wygląda sprawa z wydalonymi za nadużycia, łapownictwo i wykorzystywanie stanowisk dla osiągnięcia materialnych korzyści. W 1969 roku ilość wydalonych z partii z tego powodu stanowiła 36,6 proc. wszystkich, a w ubiegłym roku — 46,8 proc. Przy czym w większości wydalono ludzi zajmujących kierownicze stanowiska, a co gorsze — stało się to również w większości na skutek działania komisji kontroli partyjnej, a nie na skutek spełnienia kontrolnej funkcji przez POP. Jeśli więc mamy zastrzeżenia do dotychczasowej polityki kadrowej, to patrzymy na ten problem realnie i miejmy też zastrzeżenia do dotychczasowej pracy wielu organizacji partyjnych, które nie



Na podłodze wyłożonej grubymi, porowatymi kawałkami linoleum leży człowiek. Twarz ma zniekształconą skaleczeniami. Krew cieknie cienkimi strużkami torując sobie drogę wśród brudu i skrzepów.

— Tfu! — funkcjonariusz milicji spluwa na bok i klnie... mam się ubierać przyzwolcie do pracy, co ja zrobię z koszulą, dopiero zacząłem służyć. Sanitariuszka z kobiecego oddziału oferuje swą pomoc: — pomogę panu, pod zimną wodą krew zjeżdże.

— Odejdź ty s... — to leżący człowiek przemówił do lekarza pochylającego się nad nim.

— Ostrożnie, panie doktorze, on kopie, niech pan patrzy na moje ubranie. Nie mieliśmy czym skrepić nóg.

— Oo, bracie, takiś ty mocny? Trzeba ci było kajdanki zakładać? — Odejdź ty s..., bo cię...

— Skąd go zabraliście? — Z ulicy. Wstawał i walił się znowu. Pijany jak biała, a rady mu nie można dać. Auto trzeba myć, pełno brudu i krwi.

Do akcji wkraczają sanitariusze. Pijany rzuca się, nie pozwalając na opróżnienie kieszeni. Zresztą nie ma co opróżniać. Jest tylko butelka po wódce. I pomięte papierosy.

— Obrażenia powierzchowne, do kąpielni go.

— Wstawaj!

Jest następny. Młody, przystojny, ubrudzony błotem, agresywny. Funkcjonariusze MO trzymają go mocno za ręce. Jeden z milicjantów ma nogawkę spodni rozzerwaną od dołu do góry. Można spisać część umundurowania na straty.

— Cholera, gorsza robota niż przy wozie asenizacyjnym.

Funkcjonariusze MO patrolujący ulicę radiowozami mówią:

— Pracuje już jedenasty rok. Nie mam pojęcia, ku jak przyszedłem do Izby wytrzeźwień. Początkowo ogarniało mnie obrzydzenie tak wielkie, że obawiałem się czy nie rzucę służby. Ale obrzydzenie też mija. Pozostaje przekonanie, że coś nie jest w

porządku. Przecież wśród tych ludzi może nie więcej jak 15 procent jest mniej więcej uczciwych. Reszta to ciężar dla społeczeństwa.

Bierze się ich z ulicy, z bram domów, z rynków, ławek w parkach, torowisk tramwajowych, ratuje się przed śmiercią pod kołami pojazdów, zapobiega się wypadkom. Nie widzę rozwiązania problemu. Litera prawa daje im przywileje. Cóż z tego, że płaca za pobyt w Izbie? Zresztą czy wszyscy płacą? Wielu z nich ma potem rozprawę przed kolegium. Za zgorznie publiczne, awantury, bójki, obrazy i znieważenie funkcjonariuszy. Płaca i za to. Czy oni? Ich rodziny płacą.

Jest następny. Porządne ubranie zniszczone brudem. Sadzą go na ławce. Spada. Nie pozwala rozpiąć ubrania i opróżnić kieszeni. Trzeba unieruchomić mu ręce. Patrzę na procedurę „ochrony mienia”. Wszystko, co się znajduje w kieszeniach sanitariusz kładzie na stół. Pieniądzy nie ma. Tylko cztery złote.

— Co?! — wrzeszczy pijany reprezentant Łódzkich Zakładów Radiowych — Co?! 400 miałem — znać Iksińskiego? To mój bratanek, on wam pokaże.

— Gdzie pan był? — Gdzie ja byłem, to byłem...

— Przewracał się przed „Pionierem” — informuje milicjant, spisujący dane z dowodu do karty pobytu w Izbie. Zaglądam do karty: człowiek ma 60 lat. Pracownik umysłowy.

Jeszcze nie zdążyli przekazać go do rozbieralni, a już jest kolejny. Przywieziony z domu. Mąż i ojciec dawali rodzinie lekcję pokory. Ramienil się dzisiaj z kolegą zmianami, żeby po południu wziąć wypłatę i iść na wódkę.

Imię, nazwisko, imiona rodziców, miejsce pracy, zamieszkania.

Nie odpowiada na pytania. Dopiero z dowodu osobistego spisuje się dane: 42 lata, pracownik „Feminy”. Depozyt odbieramy komisyjnie: zegarek, legitymacja, rękawiczki, stary kalendarz, portmonetka, pieniądze — sto, dwieście, trzysta — 600 złotych. Przeliczone, zapisane, ulokowane w woreczku, zaplombowane. Opatrzony numerem karty przyjęcia.

— Tak się robi z obywatelami Polski Ludowej? O tośmy się bili? — ryczy pijak. — Za swoje pieniądze nie można się napić?

Nagle w małym pomieszczeniu robi się tłok. Podjeżdżają co chwila radiowozy z „ładunkiem”, który trzeba przenosić ręcznie i układać pokotem na linoleum, sadzać na ławce. Leżący, stojący, siedzący, zaczynają się bójki, milicjanci rozdzielają „walczących”, tworzy się kłębowisko, małe pomieszczenie wypełnia się okropnym odorem. Makabryczny kalejdoskop.

— Najpierw tych leżących, przysunąć go trochę, nie mogę zbać, nic nie słyszę...

— Spokój!!!

— Siedźże pan na tej ławce, nie ruszaj się, czekaj.

— Puśćcie mnie, wy... bo was zabije.

— Wzywaj pogotowie, ten ma chyba nogę złamaną.

— Co z tym, dać pod prysznic? — Nie, nie wiem co z głową, poczekać...

— Fiuu... a ten dzieciak skąd? — Z LO na Nowotki, Wezwali nas, rozrabiał.

cie. Wzywa się często karetkę reanimacyjną. Znamy stany upojenia, znany jest nam mechanizm działania alkoholu w organizmie i na tym gruncie ustawiamy metody pracy.

Patrzmy często na postępujący proces degradacji psychicznej i fizycznej stałych bywalców, a nie jesteśmy w stanie pomóc, to znaczy izolować go w porę, obwarować takim reżimem, który dawałby gwarancję zerwania z nalogiem albo zapobiegł alkoholizmowi. Izba jest instytucją konieczną, ale jest to plaster na wrzód. Naszymi bywałcami są przeważnie ludzie nie pracujący żyjący pasywnie, ewidentnie opuszczeni przez milicję. Ludzie z marginesu społecznego. Najwyższy czas, żeby organa prawa zwerifikowały metody profilaktyki pijaństwa.

— Je-t nowy „podopieczny”. Funkcjonariusze MO zabrali go w stanie kompletnej nieświadomości. W kieszeni butelka po piwie, w teczce trzy butelki po wódce. W dowodzie adnotacja o pięciokrotnej zmianie miejsca pracy. Ostatnia przynależność etatowa: Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego. Ma 29 lat.

Godzina 23. Przyjeżdża karetka pogotowia ratunkowego z Tomaszowa. Na noszach uchyłonych człowiek w kaftanie bezpieczeństwa. Szpital w Kochanówce odmówił przyjęcia. Kto to jest? Nie wiadomo. Zabrano z hotelu robotniczego. Po pijanemu usiłował sobie obciąć ucho, poranił rękę. Trzech sanitariuszy i lekarz nie mogą sobie dać rady. Wreszcie zostawiają w kaftanie. I tak zostaje położony na łóżku, do którego trzeba go przywiązać pasami. Wyje jak zwierzę i bluzga najordynarniejszymi inwektywami. Lekarz ma zajęcie na całą noc. A potem trzeba go

ZOFIA TARNOWSKA

...PRZYWIEZLI CZŁOWIEKA

— Co, słabo pani? — Lekarz wchodzi do gabinetu, z którego przez szparę uchylonych drzwi obserwowałam „widowisko”. — Taki jest nasz chleb powszedni. Ciężko pracujemy. Na samym dnie człowieczeństwa...

Nie jest mi słabo. Jestem tu już trzeci raz. Trzeci wieczór. Jak to powiedział jeden z milicjantów? Obrzydzenie mija?... Idę z lekarzem. Długi korytarz. Szereg drzwi z ciężkimi zasuwami. Zapalają się światła. Łóżko obok łóżka. Czysta pościel, a w niej brudni ludzie. Strumień wody nie zmywa wszystkich brudów.

Wędrują przez sale. Patrzę na bezwładne ciała i odnoszę wrażenie, że co drugi z tych „pacjentów” powinien za chwilę skończyć. Nikt nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego w Izbie może umrzeć jakiś pacjent. Ja zaś nie mogę zrozumieć, jak to się dzieje, że zgony należą tu do rzadkości. Większość ma wszelkie dane ku temu, żeby skończyć życie zaraz po przywiezieniu, tam na dole. Ludzie z dna: alkoholicy przywożeni po piętnastej i więcej razy, smakosze denaturatu, fryzjerskich wódkwiatowych i środków chemicznych, upojeni do kompletnej utraty równowagi i pamięci, narażeni na ciągłe urazy, przede wszystkim głowy...

Mówią lekarze Izby: — Wielu z nich uratowano dzięki szybkiej i skutecznej pomocy lekarskiej tu, w Izbie. Rocznie w Łodzi notuje się około 500 zgonów ulicznych. Najwięcej z nich przypada na pijanych. U nas walczą się o ich ży-

odesłać do szpitala. Karetka wraca do Tomaszowa. Przez trzy godziny wyłączona z dyspozycji stacji PR. Jesteśmy bogaci, mamy dużo karettek...

Wracam tu po raz drugi rano, o świcie. O 5-tej zaczynają się „wypisy”.

— Tych młodych proszę najpierw do mnie — lekarz robi kilka ruchów prostujących plecy. Ma obowiązek zbadać pacjentów, których miał pod szczególną opieką. I młodocianych.

Wchodzi 16-letni rozrabiacz ze szkoły na Nowotki. Uczeń Zasadniczej Szkoły Samochodowej.

— No, to ładnie — dobry z ciebie będzie kierowca albo mechanik. Czy ty rozumiesz, że nie będziesz mógł pracować w tym zawodzie? Z kim i ile wypitesz?

— Z kolegami, po jednym winie...

— Po butelce?

— Tak. Poszliśmy na zabawę do LO...

— I trzeba było wzywać po ciebie milicję. Teraz odwożę cię do Izby Zatrzymań dla Nieletnich. Rodzice cię stamtąd odbiorą. Ucieszą się...

Drugi: 22 lata. Pracuje dorywczo. Szkoły podstawowej nie skończył. Lekarz ogląda pokancerowaną twarz:

— Leżeliście na ulicy, przywieźli was jak kupę gnoju. To już drugi raz. Jak wam nie wstyd? Przyjdźcie tu, na trzeźwo, któregoś popołudnia, zobaczycie jak zwożą takich jak wy, popatrzycie trzeźwym okiem, zobaczycie siebie...

zawsze stać było na własne zdanie i na odwagę w sprawach nie raz aż nadto oczywistych.

Właściwa interpretacja leninowskich zasad w polityce kadrowej każe podjąć problem aktywu. Na partyjnym zebraniu w „Pabianickiej Bawelnie” jeden z dyskutantów mówił o konieczności uważnego przyjrzenia się partyjnemu aktywowi. Chodziło mu o to, że utarł się u nas zwyczaj przyznawania tego zaszczytnego skądinąd miana, ludziom piastującym pewne funkcje i stanowiska. Aktywista jest więc prawie każdy dyrektor, kierownik, naczelnik, prezes czy inspektor, ale jest aktywista z urzędu. Jego udział w pracach organizacji politycznych i społecznych wynika niejako z jego obowiązków. Przy czym praktyka była taka, że udzielał się on w komitetach, zasiadał w komisjach, zabierał głos na posiedzeniach, a

macierzystą organizację partyjną traktował li tylko formalnie. Czasem były nawet kłopoty z płaceniem składek. I macierzysta organizacja partyjna, która ma statutowy obowiązek oceniać jego postawę i pracę — milczała. Milczeli aktywiści z prawdziwego zdarzenia, ludzie, którzy podejmowali się nieraz trudnych i niewdzięcznych prac z przekonaniem, z poczucia partyjnej dyscypliny i z wewnętrznej potrzeby działania. Zaszczyły przypadają aktywistom z urzędu.

W dotychczasowej polityce kadrowej najczęściej liczyły się zewnętrzne objawy aktywności. Wystarczyło, że ktoś zdobył się na odwagę i wygłosił dobre, w miarę krytyczne przemówienie. Zebrał oklaski. Podobal się słuchaczom — i tym z sali i tym zza przydzielonego stołu. Powtórzył takie odważne przemówienie jeszcze

raz i dwa i „zaczęło go widzieć”. „To jest dobry towarzysz” — mówiono o nim i tylko czekano, aby go odpowiednio „obsadzić”. Czy rzeczywiście był to człowiek o właściwych do obsadzenia stanowiska kwalifikacjach? Dopiero niedawno zaczęto porządkować sprawy kompetencji kadr, przeprowadzając jednolitą ich ocenę. Stało się to po marcu 1968 roku i chyba dopiero po lutym 1971 roku można będzie liczyć na owoce tej racjonalizacji.

Stale powtarzające się pytanie o gwarancje nie powinno niepokoić. Niepokoić powinno co innego. Fakt, że gwarancji tych oczekuje się od „góry”. Nie błędniejszego. Ciągłe patrzyenie na „górze” do niczego nie prowadzi, bo gwarancja jest postępowanie każdego z nas: poczucie odpowiedzialności za losy partii, społeczeństwa i kraju, wyrażające się

we właściwym spełnianiu obowiązków, dyscyplinie społecznej, partyjnej i obywatelskiej postawie, zaangażowaniu w codzienne sprawy Polaków 1971 roku. To poczucie odpowiedzialności i zaangażowanie pozwoli spełnić leninowski warunek — kontroli i nadzoru. I to jest społeczny obowiązek nas wszystkich, każdego w jego pracy i działalności.

Funkcję kontroli i nadzoru spełnia też organizacja partyjna. Jej zadaniem jest polityczną kontrola codziennej realizacji generalnej linii partii i uchwał jej nadrzędnych instancji. Taki obowiązek nakłada na nas Statut PZPR. Obejmuje to również sprawy polityki kadrowej. Organizacja partyjna powinna budować autorytet swojemu kierownictwu politycznemu i administracyjnemu, ale zadanie to nie wyklucza krytyki. Człowiek kry-

Koło okienka przy odbiorze depozytów i regulowaniu rachunków awantury:

— Co, ja nie miałem pieniędzy? A kto mi ukradł tysiąc złotych? Ja niczego nie podpisuję, byłem trzeźwy, łapiecie frajerów. Idę do redakcji, ja wam pokażę!

— Ludzie, skąd ja się tu wziąłem? Miałem wrócić z Łęczycy, wiozłem mięso dla żony. Ja mam dobrą opinię w mieście, wszyscy mnie znają, nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło. O, jest zegarek, dziękuję, że schowaliście, ale gdzie ja byłem?

— Kolegi trzeba zapytać. Przywieźli was razem. Leżeliście na Czerwonym Rynku.

— Rany boskie, co ja teraz zrobię?

— Kielicha się pan napij, to zaraz wszystko przejdzie — radzi następny odbiorca depozytu. Ten się nie martwi. Bierze rachunek. Stary bywalec.

— A trzysta złotych gdzie? A bilety tramwajowe, a teczka? Cholera, kieszenie powywracane, to wy tak robicie? Jak wygląda moje ubranie? — pracownik umysłowy, grożący wczoraj panem Iksińskim oskarża personel Izby o stan, w jakim się znajduje. Pieniądze chcecie, rachunek? Za te pieniądze to powinniście prac i prasować ubranie, a nie tak wypuszczać człowieka. Nie płacę żadnego rachunku, ja was zaskarżę!

Mecenas K. mówi w świetlicy o niszczycielskim działaniu alkoholu. Niecierpliwosć wyciera z przekrwionych oczu, ironia z podrapanych twarzy. Brudne ręce gnioją papierosy i liczą bilon, który za chwilę wymienia na kufel piwa... Kilku słucha uważnie. To ci, którzy znależli się po raz pierwszy w Izbie.

Godzina 10. Izba pustoszeje. Zaczynają się porządki.

Mówią sanitariusze:

— Podnoszą ceny na artykuły żywnościowe, ale nie podnieśli na wódkę. Obawa przed wzrostem cen? Bimbrowni? Mnie się wydaje, że istnieją idealne warunki do rozpłajania społeczeństwa. Wzemy organizację pracy na budowach. Dlaczego mamy tytuł „pacjentów” z budownictwa? Dlaczego młodych? Wódka jest pierwszym „dokumentem”, pierwsza karta pracy, kontaktem z kolegą, z majstrem, przez wódkę zatapia się leniwa robotę, wódka jest pośrednikiem w awansach i premiach. Nie ten leniwy, kto jest dobrym fachowcem, ale ten, który z majstrem pije.

Wyszli wszyscy. Dokąd poszli w tę słoneczną niedzielę? Czy ten, za którym w nocy przyszła żona z zapłakany dzieckiem i prosiła, żeby go nie puszczać rano do domu — jest już znowu pijany i bije czworo dzieci?

Niemal wszyscy mają żony i dzieci — po dwoje, troje, czworo. Jakie są te dzieci? Jaka ich przyszłość?

Wracam wozem milicyjnym. Razem z 67-letnim złodziejem, którego oczekują w komendzie dzielnicowej. Stary klient Izby. Nie wypłacalny. Jeden z 17 tysięcy przebywających rocznie w Izbie Wytrzeźwień. Jeden z około 8 tysięcy, którzy trafiają tu trzeci, piąty, dwudziesty raz. Przez miesiąc pozostanie w więzieniu. Miesiąc abstynencji od denaturatu. Życie na państwowym koszt. Społeczeństwo pracujące płaci. A za miesiąc?

Chyba jednak funkcjonariusz milicji nie miał racji. Obrzydzenie nie może minąć. Jak to powiedział ten drugi?... Litera prawa daje przywileje pijakom. Czy litera prawa reguluje życie, czy życie ustanawia literę prawa?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MUNDEK

„Idźcie i poszukajcie Mundka! Zorientujcie się, jeżeli jeszcze całkowicie nie zidiociał, sprowadźcie go do pracy...”

Wyszedłem chętnie. Biuro oczekiwało powrotu Mundka: „On wróci — Mundek wróci — szeptały maszynistki, przeciągały leniwie ramiona i uśmiechały się szminowanymi serduszkami warg. — Wróci!”, Widziano go na ulicy, stał przed bramą biura i zadzierając głowę patrzył na schody. Słyszano jego kroki na korytarzu. Pukał lekko do drzwi i wsuwał głowę przez szparę w czasie południowej ciszy, gdy pokoje skrzyły się w słońcu, gdy urzędnicy przytłoczeni nagle w tej godzinie objawionym ciężarem własnych tułowi, zwieszali głowy ze zmrużonymi powiekami. W słuchawkach telefonów, wśród trzasków membrany odzywał się głos Mundka. „Słucham cię, Mundziu! Kiedy wrócisz do nas? Wróć koniecznie” — mówiła sekretarka. Słuchawka w jej ręku terkotała, wybuchała falami rytmicznych, cichych trzasków.

Wyszedłem na ulicę. Znałem adres Mundka. Mieszkał na ulicy wysokich, ciemnych domów, małych sklepów z lizakami na wystawie. Dom Mundka, najwyższy na tej ulicy, świecił w syczącej trójkątnej ścianie samotnym oknem. To oko domu, Mundek mieszka w żrenicy posępnego olbrzyma, w iskerce jego gniewu.

Przez drewniane, skrzyjące schody odchodziłem z ulicy, ze strefy wilgotnego wiatru, z resztek wielkomięskiego gwaru. Tu chyba, w każdym mijanym mieszkaniu smażono porcje kartofli z cebulą na łożu.

Przekarmiony zapachem, wspinałem się coraz wolniej. Nogi ślizgały mi się na rozgniatanych lodgach rabarbaru, a więc tutaj gotują kompot. Mundzio gotuje kompot rabarbarowy i studzi dmuchając w bulgoczącą powierzchnię. Dużo kartofli smażonych na łożu, kartofli z cebulą, a potem kompot już wystudzony, wielkie lodygi rabarbaru miażdżone w zębach. Pukam do drzwi Mundka. Nie ma dzwonka. Pukam trzy, cztery razy. Seriami, arogancko, dyskretnie, intymnie. Trzymam palce na chłodnej politurze drzwi. Włożyłem do dziurki od klucza karteczkę z napisem: „Mundziu, nie wygłupiaj się, wracaj do biura, wszyscy czekają i robota czeka. Chcemy, żebyś wrócił!”.

Przypomniałem sobie, że przed sprowadzeniem Mundka miałem sprawdzić, czy całkowicie nie zidiociał. Podarłem karteczkę. Zgarbiony opadałem po schodach. Mój osłabiony bieg w dół, powstrzymał beładny upadek z piętra na piętro. Roztrzącałem warstwy zapachów. „Przepraszam, przepraszam. Czy pani wie, gdzie jest Mundek?” — wołałem wpadając w ramiona kobiety, trzymającej w ręku wilgotną ścierkę. „Niech go pan szuka na ulicy!” — krzyżała kobieta, odpychając mnie od siebie, w kłębach wilgoci i pary.

Na ulicy wchodziłem w szczeliny domów. Szukałem Mundka pomiędzy pustymi beczkami, w stertach poczerwiałych desek, widziałem ślepe okna — mieszkańcy wychylający głowy czołami dotykali przeciwległych murów i trwali tak uporczywie bodąc próg zamkniętej przestrzeni. Zginając ciało zaglądałem pod karoserie porzucanych samochodów. Kilkakrotnie zaczynałem go już dostrzegać za ciemnymi skrzydłami bram, we wnętrzach sklepów. Zbierał się w powietrzu, chwytalem pierwsze błyski jego oczu, czulem drżenie ręki na moim ramieniu — po to tylko, aby wykonawszy niepełny obrót głową, stwierdzić jego zupełną nieobecność w powietrzu spadającym warstwami sadzy i kurzu na moje włosy, ramiona i kołnierzyk marynarki.

Ciągle poszukując posuwałem się wzdłuż murów kamienic, środek ulicy badałem wzrokiem, nie opuściłem ani centymetra przestrzeni, w której istniała możliwość przebywania Mundka. Oczywiście, opuszczałem całe płaszczyzny, na których poruszać się stanowczo nie mógł. Były to sprzeczne z jego naturą trotuary z żółtych, foremnych kostek przed bramami nowych kamienic, klomby z japońskimi drzewkami, sklep jubilerski i sklep z lustrami. Zaglądałem natomiast do sklepów z żelazem. Szukałem w garści gwoździe, pukałem w puste muszle wanien. I znów wracałem na ulicę. Na przystanku, wsparty na palcach, patrzyłem przez szybę do wnętrza tramwaju. Tramwaj odjeżdżał uwożąc siedzących i stojących ludzi, przechodniów posuwających się obcym, automatycznym ruchem, zatrzymanych w chodzeniu, bezpiecznych w salonowym blasku elektrycznych żarówek.

Obecność Mundka wzrastała,

wypełniała się. Wiedziałem już, że zastanę go w małej kawiarni pod różową lampą. Siedział na kanapie z lokciami na okrągłym stoliku. Usiadłem obok i wtedy dopiero zobaczyłem dwie rozłożyste dziewczyny, siedzące przy stole Mundka. Patrzyły na niego wilgotnymi oczami, rozchylone, gorące. Dziewczyny polykały zielony likier. Sledziłem wędrujące drgania przelknięte w ich gładkich ciałach. Łyk likieru krążył w nich gorąca kula, pulsował pod skórą. Dziewczyny opuszczały oczy, drażyły myślą własne ciała.

Zamówiłem pół czarnej. Przed Mundkiem stawały kipiące filiżanki kawy z kremem, nowe butelki likieru, polcie czekoladowego tor-

tu. Nie widziałem kelnerki. Pół czarnej sam sobie przyniosłem z bufetu. Mundek i dziewczyny pochylali się nad każdą nową potrawą, nad szklaneczką napoju.

Płem moją kwaśną kawę, kiedy do kawiarni weszli: kobieta w niebieskim fartuchu i mężczyzna z teczka. Kobieta przystąpiła do bufetowej. Mężczyzna uśmiechał się szeroko szczerbatymi zębami. Zdjął kapelusz ukazując długie, jasne włosy. Widziałem go już chyba wiele razy, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Bufetowa zneruchomiała z rękami położonymi na oczach. Kobieta podeszła do mężczyzny, z otwartej teczki wydobyla tabliczkę: „Remanent!” i zawięzała ją na drzwiach z napisem

odwróconym w stronę ulicy. Mężczyzna usiadł przy stoliku. Ciągle się uśmiechając spisał z kalką arkusze papieru, temperował ołówki. „Pan może wyjść” — powiedział do mnie. — „Płaci pan dwa pięćdziesiąt za małą kawę”. Wstałem Mundek i obie dziewczyny siedzieli zupełnie nieruchomo, nie odrywając oczu od popielniczki. Wydawało mi się, że pod naciskiem ich wzroku popielniczka przesuwa się po stole, chybotce. Wyszedłem bez pożegnania. Kobieta zamknęła za mną drzwi na klucz.

Odchodząc ulicą odwróciłem głowę: „Remanent!” — przeczytałem na drzwiach. Światło w kawiarni powoli gasło.

PRZESILENIE

Byłem chory. Spałem na ukos w zmęczonej pościeli. Ogromną, pulsującą głowę razło światło i raziła ciemność. Szarpałem palcami przepoconą piżamę. Ciągnąłem włosy z kosmatej piersi. Ssałem kwaśne witaminy, lylałem aspirynę i syrop od kaszlu. Moja choroba była jednak — zupełnie prosta. Nie widziałem w niej żadnej, najmniejszej nawet szczyliny, nic, od czego zacząć mógłby się jej podział. Witaminy miały przewyciężyć słabość, aspiryna obniżyć gorączkę, syrop — powstrzymać kaszel. Moja choroba nie była złożona ze słabości, gorączki i kaszlu. Była poza nimi i nawet poza mną.

Nachylał się nade mną brodaty lekarz: „grypa” mówił, bawiając się słuchawką, „tylko grypa. Płuca są bez zmian”. Tracił mnie lekko palcami w policzek, moja szczyka spuszczona z zawiasów kostnych drgała w powietrzu: „Pan jest imponującym typem nerwicowca”. Paznokciem rysował na moim ciele czerwone koła i krzyże: „te znaki powinny już dawno zniknąć, a u pana trwają coraz intensywniej czerwone”. Uderzał mnie w łokieć i łopotałem ręką jak skrzydłem w powietrzu: „Zapiszę panu brom i walerianę — trzy razy dziennie lyżeczka”.

Lekarz odszedł. Jego kroki oddalały się stopniowo i nigdy nie umilkły zupełnie. Gdy nadstawiałem ucha obudzony w nocy, słyszałem kroki doktora zamierające asymptotycznie, nigdy ostatecznie.

„Jestem mężczyzną” zaciskałem mokre dłonie w pięści. „Co, u licha, nie dam sobie rady z tą chorobą?” Wstałem. Chodziłem w

szlafroku po mieszkaniu. Palilem papierosa, plecami oparty o piec. „Jestem zdrow, zupełnie zdrow. Jutro obudzę się silny i pójdę do pracy”. Nie mogłem zostawić kolegów tak długo samych. Dyrektor też pewnie się męczy. Wprawdzie przejeżdża do biura dopiero o jedenastej, ale codziennie zabiera akta do domu. Ostatnio śleczal nad sprawozdaniami przez dwie noce. „Niech pan uważa na siebie” mówił do mnie, gdy odchodziłem do domu, by chorować. „Będę chorował krótko, panie dyrektorze” powiedziałem ściskając mu rękę. Właśnie wtedy uczulem, że jego ręka jest bardziej gorąca od mojej. „Pan jest chory” powiedziałem. „Trochę się źle czuję, nic mi nie będzie”. Cofnął rękę i opuścił oczy.

Na ulicy przystawiałem dłonie do zimnych szyb sklepowych wystaw, do przypadkowych klamek i prętów metalowych. Ręce piekły mnie coraz bardziej. „Pożar rąk” myślałem. „Będę szedł ulicą z płomieniami rąk, niebezpieczny dla drewnianych domów, dla dziecięcych wózków z firankami”. Dopiero w mojej kuchni za zamkniętymi drzwiami zanurzę syczące ręce w misce z zimną wodą.

Zgniołem papierosa o kafel. Wyprostowałem się, naciskając piec łopatkami. Wstanę jutro o siódmej, przed ósmą będę już w bramie domu, w którym pracuję. Pracowałem w oficynie na pierwszym piętrze. Codziennie przecinałem wyłożone czerwonym betonem podwórce pełne węgla. Pośrodku podwórza stały puste wozy. Zaprzężone konie muskały miękkimi nozdrzami moje ramiona. Dzieci

wskakiwały na wozy i patrzyły na mnie z góry: „Proszę pana! Proszę pana! Pan ma nitkę na berecie”.

Pójdę jutro do pracy i mimo woli przestraszę szarego, podwórzowego kota. Codziennie od dwóch lat, kiedy mijam podwórze, kot wybiega za mną z bramy. Wyprzedza mnie, odwracając w biegu głowę, nie spuszczać z oczu dopada schodów w oficynie. W sionce przeciska się przez zardzewiałą kratę i staje wyprostowany, rozpostarty w ślepym oknie wybitym w ścianie. Wchodząc po schodach mijam kota. Patrzymy sobie prosto w oczy. Kot przekreśla kreskami żrenicy moje spojrzenie, stoi nieruchomy, napięty. Kiedy otwieram okno w pokoju, widzę go jak powoli, z opuszczonym ogonem wysuwa się z sionki na podwórze. Zaglądałem przez kratę do okna — nic tam nie ma. Ślepe okno — wpuszczone na dziedzię centymetrów w mur, w rogu kilka wypalonych zapalek i żółty strzępek gazety.

Gdzieś, wiele domów stąd, milkną bezustannie kroki lekarza. Odchodzi, gotów powrócić, zapukać w moje zębra, a ja stoję oparty o piec, dyszę rozpalony na łożku, otwieram i zamykam okno — wiedząc, że lekarz wróci, weźmie mnie w milczeniu za rękę, by zbadać puls i przyłożyć do mojej piersi metalową słuchawkę... Byłem chory. Szkodzą mi papierosy. Cichym, smutnym głosem prosiłem kolegów o zapalki. „Znowu palisz! Znowu palisz!” Miałem tylko dwa złote. „Pożyczcie mi na papierosy. Mam tylko dwa złote”. Wyszedłem z biura wcześniej niż zwykle, pożegnawszy dyrektora. Patrzyły na mnie konie, drgając nozdrzami. Dzieci krzyżały z wozów o nitce na berecie. Zostawiałem w sieni uspokojonego moim odejściem kota. „Komedia z tym zwierzęciem!” — myślałem idąc. „Może go obłaskawić waleriana, koty lubią walerianę”.

Wziąłem lyżeczkę bromu z walerianą. Leżałem na łożku uspokojony. Poty ustępowały. Jutro pójdę do pracy — zasnąłem odkryty.



Fot. F. R. Nagel

JERZY WILMAŃSKI

Rady przed podróżą

Kiedy się wybierasz w drogę ponad miastem skrajem rynnny blaszanej pochyłości dachów gdy w dole kolorowa mieni się ulica i śpią cienie podwórek w kamienistej studni

— nie chodź z wrogiem po dachach

W zagajnikach anten manewruj uważnie smola lepka pod butem a ulica przecież zaczyna się dla ciebie wraz z krawędzią dachu

— nie chodź z obojętnym

Kiedy się wybierasz w podróż tak wysoką gdzie wiązary stalowe wieńczą bryłę cegieł i tylko księżyc dzwoni tylko chmura chrzęści

— nie chodź z przyjacielem

Skrajem rynnny blaszanej pochyłością dachów musisz upaść w samotność bez niczyjej dłoni

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Ciągle idziemy...

ciągle idziemy w dobrowolny jasyr pod nawyk swoje podkładamy głowy wybór jest obcy każdą myśl wiążemy z myślą „O, niech się tylko nic nie zmieni!” już wolni

(na łańcucha długość) wietrzmy nieuchronną skorupę przyszłości gdzie po wewnętrznej pnie się zmurszały świt od zewnątrz zamkniętej wolności i opuszczamy puste wnętrza — bez „nie” bez „tak”.

— w spokoju obojętnym wiemy przecież że nikt w nich nigdy nie zamieszka

Dlatego układamy wszystkie rzeczy w określonym porządku. Aby inni odziedziczyli nawet złudzenia.

BIOGRAFIA ULICY



Fot. K. Janaszewski

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE ZWIĘKSZYŁO SWÓJ DORÓBEK O JESZCZE JEDNĄ CIEKAWĄ I JAKŻE ŁÓDZKĄ POZYCJĘ. JEST NIADAWNO ZAPOWIADANA KSIĄŻKA ANNY RYNKOWSKIEJ „ULICA PIOTRKOWSKA”, KTÓRA OD NIE-DAWNA ZNAJDUJE SIĘ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH. MOŻNA CHYBA BEZ PUDŁA PRZEWIDY-WAĆ, ŻE DŁUGO TAM MIEJSCA NIE ZAGRZEJE.

Książka jest ciekawa z wielu względów. Napisanie monografii ulicy jest zadaniem niesłychanie trudnym, wymagającym przysłowiowej świętej cierpliwości i wprost benedyktyńskiej docieklowości. Ze skali tych trudności zdają sobie doskonale sprawę historycy i niechętnie podejmują taką tematykę, szczególnie w dzisiejszych czasach pośpiechu. Dlatego też można długo wertować wszystkie dostępne bibliografie i stwierdzić, że brak w nich niemal zupełnie monografii ulic. W literaturze polskiej bodaj jedyną tego rodzaju pozycją jest monografia ulicy Marszałkowskiej. Jest to jednak opracowanie innego typu. Jest to poza tym monografia ulicy, która w wyniku ostatniej wojny przestała istnieć w opisywanym kształcie. Natomiast monografia Piotrkowskiej to przeszłość, ale przeszłość wypełniona tętniącym życiem rozwijającego się miasta, a równocześnie to wierny portret fizycznego obrazu ulicy kształtowanego w okresie od pow-

stania Łodzi przemysłowej do mniej więcej pierwszej wojny światowej, kiedy to w zasadzie zakończył się kształtować zachowany do dziś i tak znany obraz tej ulicy.

Książka Rynkowskiej jest próbą retrospektywnego spojrzenia — przez pryzmat rzeczy martwych, domów, fabryk i pałaców — na burzliwy nurt życia gospodarczego, społecznego i politycznego miasta, którego centrum i serce stanowiła Piotrkowska. Tego typu monografii jeszcze nie było. Autorka wykracza więc w wykładzie daleko za ramy nakreślone tytułem książki i trzeba przyznać, że wychodzi to książce na korzyść. Hipoteki posesji położonych przy ulicy Piotrkowskiej były jednym z najczulszych barometrów życia gospodarczego miasta i stanu interesów poszczególnych fabrykantów, a ulica niejednokrotnie była niemyłym świadkiem ważnych wydarzeń społecznych i politycznych. Dało to Rynkowskiej szansę pokazania niby mimochodem, niejako, w tle ulicy Piotrkowskiej, szerokiego wachlarza problemów z historii miasta.

Czytając pierwsze rozdziały książki czytelnik, niecierpliwie może, że autorka tak często wykracza poza ramy określone tytułem książki, prezentując dzieje wielu ważnych dla życia miasta instytucji i spraw nie związanych się jednak bezpośrednio z ul. Piotrkowską. W pewnym momencie zaczyna się jednak rozumieć autorkę. Bo czyż w przeszłości działo się w Łodzi coś co nie wiązało się ściśle z ulicą Piotrkowską? Czytelnik zaczyna rozumieć i konstrukcję pracy i zamiar autorki, sprowadzające się do traktowania i opisywania Piotrkowskiej jak rzymskiego forum. Trudno nie przyznać autorce racji.

Anna Rynkowska dowiodła, że można napisać rzetelną naukowo i interesującą biografię ulicy. Interesującą, mimo braku fabuły. Bo w miarę czytania rysuje się przed czytelnikiem obraz wibrującej wielowarstwową fabułą, a książka staje się opowieścią o złożonym procesie kształtowania się kapitalistycznego miasta i burżuazji. Książka o ludzkich sukcesach i niepowodzeniach. „Ulica Piotrkowska” zawiera w sobie pewien dysonans polegający na tym, że historia Piotrkowskiej napisana przez A. Rynkowską nie sięga do naszych czasów lecz kończy się przed pierwszą wojną światową. Do tej granicy chronologicznej przedstawiła nam autorka, nazwijmy to umownie, zarówno kształtowanie się fizycznego oblicza ulicy jak i jej życie duchowe, rolę jaką odgrywała w życiu miasta i rangę jaką nadała jej rozwijające się miasto. Historia ulicy została przez autorkę podporządkowana jej przemianom fizycznym i architektonicznym. Koniec tych przemian jest dla Rynkowskiej końcem historii ulicy. Ujęcie takie jest tylko pozornie uzasadnione i trudno się z nim zgodzić. Bo przecież polityczny i społeczny klimat tej ulicy i gorący nurt toczącego się na niej życia nie zastygły w formie skończonej tak jak mury w przededniu pierwszej wojny światowej i nie ostateł w następnym półwieczu. Zarówno w okresie międzywojennym jak i w czasie okupacji, a także do dni ostatnich była i jest Piotrkowska świadkiem wielu ważnych dla miasta wydarzeń. Brak w książce tego bogatego przecież aspektu życia ulicy sprawia zawód czytelnikowi.

Przyjęta przez autorkę konstrukcja książki zamykająca jej dzieje

w zasadzie na pierwszym dziesięcioleciu obecnego wieku, z całą ostrością uświadamia nam, że główna ulica naszego miasta to naprawdę już muzeum — skansen z domami liczącymi od 50 do 100 lat i że nieliczne domy liczące mniej niż 30 stawią zgrzyt w tej harmonijnej, pokrytej patyną historii całości.

Lektura recenzowanej książki budzi w nas refleksje, że jednak wbrew potocznemu odczuciu życie wcale nie toczy się szybko. Przez blisko 60 lat obraz Piotrkowskiej nie uległ poważniejszym zmianom, a i wiele problemów aktualnych dla miasta i ulicy Piotrkowskiej w początkach naszego wieku, a czasem i wcześniej również do dziś zachowało swoją aktualność. Budowę nitki wodociągu z Niebieskich Źródeł do Łodzi projektował w początkach naszego stulecia inż. W. H. Lindley, aktualne projekty lokalizacji głównego łódzkiego dworca kolejowego w rejonie Bałut mają poprzednika w projekcie sprzed ponad 100 lat (s. 104). Długo przed pokoleniem tuwimowskim było „największą łódzian troską zmieścić wszystko na Piotrkowską” o czym świadczy fakt, że gdy budowano linię kolejową Łódź—Kozłuszki, Dworzec Fabryczny chciano ulokować „ile można najbliżej ulicy Piotrkowskiej” (s. 104).

Książka Rynkowskiej posiadając walor autentycznej pracy naukowej, przez swój temat i sporo interesujących dygresji, staje się przystępna dla szerokiego kręgu czytelników. Możemy dowiedzieć się z niej wielu ciekawostek jak np. czemu ul. Sienkiewicza kończy się przy Tylniej, jakie były przyczyny i czemu zawdzięcza swój jednolity kształt architektoniczny ul. Moniuszki, a także i tego, że procesy o zatrucie wód i ryb ściekami z fabryk narodziły się razem z fabrykami i że proces taki miał miejsce w Łodzi przed stu laty.

Odkładając przeczytaną książkę zadam sobie pytanie w czym tkwi źródło sukcesu autorki? Dla tego, kto zna dotychczasowy dorobek doc. dr A. Rynkowskiej nie jest to tajemnicą. Na sukces złożyły się: gruntowna znajomość przedmiotu, którym Rynkowska zajmuje się od ponad 20 lat, żmudne i kompletne badania archiwalne i rzetelność warsztatu naukowego.

Książka Rynkowskiej ukazała się na półkach księgarskich w samą porę, ale jej ukazanie się zawiera w sobie coś z niezamierzonego żartu. Wtedy gdy rozpoczyna się mobilizacja szerokich zespołów dla przygotowania nadchodzących obcho-

dów 550-lecia Łodzi, działający w pojedynkę badacz ofiaruje swojemu miastu tę oryginalną i cenną pozycję. Mam nadzieję, że fakt ten nie ujdzie uwadze władz miasta i odpowiednich wysokich komisji. (Być może zauważy ten fakt jakaś wysoka komisja nagród).

Na fali zbliżających się przygotowań do tej ważnej rocznicy ożywiają też dyskusje o przyszłym kształcie i losach Piotrkowskiej. Rynkowska nie uczestniczy w nich, nie jest też chyba członkiem żadnej odpowiedniej komisji, nie zabiera na ten temat głosu na łamach prasy. Jak się okazuje miała zbyt wiele do powiedzenia i jej raczej nie zmieściłyby się w najdłuższym nawet artykule. Przedstawiła je więc w książce. Choć nie było to zapewne zamierzeniem autorki, jej książka staje się ważkim, udokumentowanym i przekonującym głosem w dyskusji o przyszłych losach i obliczu ul. Piotrkowskiej.

Zalety omawianej książki to bogaty lecz nie przeładowany aparat naukowy, rzetelnie opracowany „klucz” dawnych i współczesnych nazw ulic i numerów domów na ul. Piotrkowskiej oraz bogaty, liczący 125 zdjęć materiał ilustracyjny. Szkoda wielka, że prezentowane zdjęcia są w większości słabe technicznie i kompozycyjnie. Zastanawia, że do najlepszych należą nie te wykonywane w latach ostatnich, lecz te sprzed ponad pół wieku.

Doceniając inicjatywę wydawniczą Wydawnictwa Łódzkiego i staranną pracę redaktorską, można chyba zaryzykować twierdzenie, że przeoczono ogromną szansę zapisania na swym koncie bestselleru: naukowe ze względu na oryginalność tematu i rzetelność opracowania i bibliofilskiego gdyby środki i materiały jakie przeznaczono dla „Dziwów nad Łódką” nowego łódzkiego bazaru, użyto dla nadania odpowiedniej szaty graficznej recenzowanej książce. Zastugiwała ona na to jak żadna inna. Być może uważano, że rzetelność badawcza autorki i treść książki utrudnią jej drogę do czytelnika i bez dodatkowych zachęt. Podnoszę tę sprawę nie dla czej krytyki tego, co nieodwracalne, lecz z myślą o tym co można naprawić w przyszłości. Sądzę bowiem że książka zniknie z półek bardzo szybko i niedługo Wydawnictwo będzie przygotowywać jej drugie wydanie.

Książka Rynkowskiej, będąc jej prywatnym osiągnięciem, jest równocześnie kolejnym dowodem aktywności naukowej łódzkiego środowiska archiwistycznego.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ KONRAD FREJDLICH — Czy umiemy myśleć politycznie?
 - ★ LUCJUSZ WŁODKOWSKI — Małżeństwo niedoskonałe.
 - ★ ZYGMUNT FIJAS — Ze wspomnień zaangażowanego schematysty!
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Przeszłość i terażniejszość

Pisałem już na tym miejscu o niepokojącym zjawisku, jakie wystąpiło w naszej historiografii ruchu i klasy robotniczej. Przeglądając wcale obfitej bibliografii prac z tego zakresu nasuwa wniosek, że w ostatnich latach niezmiernie często celem badań historycznych bywało tu dostarczenie historycznej legitymacji tej czy innej grupie działaczy, w zależności od tego, która z nich miała aktualnie większe znaczenie. Przy tej okazji na coraz dalszy plan schodziła ogromna problematyka dziejów klasy robotniczej, której przeszłość jest dziś znacznie gorzej znana, niż dzieje innych klas i grup społecznych o znacznie mniejszym, nie tylko współcześnie lecz i w przeszłości znaczeniu historycznym. Nie twierdzą, byłoby to oczywistym przekreśleniem faktów, że prac o dziejach klasy robotniczej wcale nie było, przeciwnie, niemal w każ-

dym ośrodku znaleźli się ambitni badacze, którzy wzięli na swój warsztat tę właśnie problematykę; tak zresztą jest i w Łodzi. Chodzi jednak o to, że badania te — w miarę utwierdzania się szkodliwych nawyków myślenia i działania politycznego — były odsuwane na coraz dalszy plan, ustępując miejsca jakże często publikacjom wątpliwej wartości, lecz przykrojonym do aktualnego etapu.

W środowisku badaczy dziejów nowożytnych i najnowszych od lat narastał sprzeciw w stosunku do tej niezdrowej sytuacji. Nie czekając na odgórne zalecenia przystąpiono do planowania i realizacji kompleksowych studiów nad dziejami polskiej klasy robotniczej, pozyskano dla tych badań historyków ze wszystkich niemal ośrodków naukowych kraju. W opublikowanej niedawno na łamach „Odgłosów” rozmowie organizator

tych prac prof. Stanisław Kalabiński przedstawił używane rezultaty i plany na najbliższą przyszłość. Dziś mamy przed sobą pierwszy rezultat tej ambitnej inicjatywy w postaci pierwszego tomu zbioru studiów historycznych pt.: „Polska klasa

— będą mieć istotne znaczenie jako klucz do zrozumienia najważniejszych zagadnień w całym procesie najnowszej historii Polski, a zwłaszcza historii ruchu robotniczego. Tu należy też szukać przesłanek do zbadania procesu przekształcania

rzutować i na poznanie więzi między masowym ruchem proletariatu a oddziaływaniem partii robotniczych, na poznanie mechanizmów mobilności politycznej proletariatu i jego promieniowania na inne warstwy ludowe, i wreszcie — na pogłębione spojrzenie na miejsce i rolę partii robotniczej jako awangardy całej klasy robotniczej. Badania tego typu poszerzą naszą znajomość struktur socjalno-politycznych partii działających wśród klasy robotniczej, co będzie istotnym elementem poznania dróg i etapów polskiego ruchu robotniczego”. Pierwszy tom studiów przynosi rozprawę dwunastu autorów poświęconę klasie robotniczej Królestwa Polskiego, Białostocznym, Śląska, Pomorza Gdańskiego, Galicji i polskiej robotniczej emigracji w Niemczech. Dalsze obejmą inne jeszcze regiony i problemy. Pracownia Dziejów Klasy Robotniczej IH PAN, w której zrodziły się te prace, postuluje badania monograficzne nad klasą robotniczą poszczególnych ośrodków przemysło-

wych, nad proletariatem rolnym, skupiskami polskiego proletariatu za granicą. Niewątpliwie inicjatywa ta wychodzi naprzeciw postulatowi także innych środowisk naukowych i to właśnie rokuje jej pełne powodzenie. Celem tych badań jest opracowanie syntezy dziejów klasy robotniczej w Polsce w XIX i XX wieku, czego nie można uczynić bez intensyfikacji badań analitycznych. Poważna synteza nie może bowiem powstać na innej drodze.

Tym szeroko zakrojonym badaniom przyświeca wreszcie cel najogólniejszy, mianowicie dążenie „by zrozumienie miejsca klasy robotniczej w najnowszych dziejach społecznych i politycznych Polski stało się integralną częścią spojrzenia na polski proces historyczny w ostatnim stuleciu — aż po dzień dzisiejszy”. Czyż nie jest to jedno z podstawowych zadań nauki historycznej w Polsce Ludowej?

JÓZEF GRZELAK

JESZCZE O HISTORII KLASY ROBOTNICZEJ

robotnicza”, ogłoszonego pod redakcją S. Kalabińskiego (Warszawa, PWN, 1970). Następny jest już w korekcie, dwa dalsze w przygotowaniu.

„Wyniki szeroko prowadzonych badań nad dziejami klasy robotniczej — pisze we wstępie prof. Kalabiński

się proletariatu z „klasy dla siebie” — w klasę wyrażającą interesy najszerszych kręgów narodu, procesu skomplikowanego, dokonującego się w dramatycznej walce z klasami posiadającymi o hegemonię polityczną i ideologiczną nad masami ludowymi. Efekty badań powinny



Fot. W. Parys

ANDRZEJ HAMPEL

Czy koniec kabaretów?

Ruszyli swego czasu publicyści i artyści do ataku: Łódź nie ma kabaretów. Ma Warszawa „Dudka”, „Lopka” i „Owce”, ma Kraków „Jamę Michałkowa” Wrocław — „Dreptaka”, Rzeszów — „Meluzynę”, a u nas co? Martwa cisza. Zaostrzyli więc ołówki satyrycy, siedli do instrumentów kompozytorzy. „Estrada” otworzyła drzwi i portfel i tak mogliśmy w ubiegłym roku wybierać i przebierać. Było doprawdy w czym i każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Zawołowane, cieniutkie a luzne w „Fidze”, echo śmieszności i pónurości naszego życia w „Kpiarzu”, kilka dobrych piosenek i smaczne dania serwowane „U Bena”. Wszędzie dobre aktorstwo.

Godzi się tu wspomnieć i o tym, że udział w tworzeniu szampańskich nastrojów łódzian miała także Gastronomia, uczęszczając gościnnie trzem kabaretom. Wprawdzie wtajemniczeni szepotali po kątach, że coś tam zgrzyta w małżeństwie Sztuki z Gastronomia, że jest ono

raczej wymuszone zarządzeniem ogólnym, że już kiedyś mieliśmy w Łodzi kabarety kawiarniane, z których wyszła... figa, ale któż by słuchał wiecznych malkontentów.

Tak było. A cóż dziś można zarekomendować czytelnikom „Odgłosów”? Można więc w sobotę lub w niedzielę iść do kawiarni „Balaton”, gdzie produkuje się kabaret „Gagatek”. Studenci PWSTiF: T. Makarska, A. Błaszczak, T. Gałła, I. Sawin przy akompaniamencie B. Domagały, prezentują program „Kwiatek do kwiatka” w ramach Sceny Debiutów. Zadebiutowali na estradzie ostro i dynamicznie, szydząc, powiadamy to obiektywnie, za spraw i problemów wymianianych już dość powszechnie. Pierwszy program „Gagatek” penetruje obszary już wyeksploatowane, ale pewne braki w koncepcji programu wynagradzają perełki w rodzaju piosenki — macabre „Pójdź miła na łękę”, czy finałowych „Manekinów”, rodzących nowe refleksje i skojarzenia.

Był też program kabaretu „Figa”

pt. „Rewia polskich zagrań”. Wykorzystując teksty wyjątkowo łódzkich satyryków: R. Czubaczyńskiego, W. Machejki, J. Słowikowskiego, wspierając się muzyką Piotra Hertla i scenografią Izabelli Dreckiej reżyser Jerzy Woźniak zbudował spektakl zalecający się przede wszystkim aktualnością, dowcipem przednim, lekkim a subtelnym, tempem zawrotnym. I jeśli dodam, że Alicja Krawczykówna, Włodzimierz Skoczylas, Ryszard Dembiński, Stanisław Kwasiak, Jerzy Braszka i Piotr Hertel znakomicie wcielali się w kabaretowe postaci, to w końcu napisać przyjdzie... szkoda, że państwo tego nie zobaczycie! No, właśnie, nie zobaczycie państwo tego programu, bowiem Gastronomia doszła do wniosku, iż małżeństwo ze względów finansowych stało się uciążliwe i przeprowadziła rozwód. Jedyną literacką kabaret Łodzi, praktycznie biorąc, przestał istnieć.

Mówi się tu i ówdzie, że impreza była deficytowa, program za drogi, gaże aktorów wysokie, a wpływy do kasy kawiarni „Irena” (gdzie „Figa” występowała) nie pokrywały wydatków. Dlatego też gastronomiczni ekonomiści skalkulowali bilety wstępu na „Fige” w wysokości 70 zł. od osoby. Zważywszy, że w soboty i niedziele ludzie rzadko chadzają samotnie na dancing i do kabaretu, koszt pobytu dwuosobowego na występach „Figi”, uwzględniając kawę i powędzany ciastko, kształtował się w granicach 200 zł. Czyż można się więc dziwić, że amatorów rozrywki, nawet ambitnej i na wysokim poziomie, ale za 200 zł, było niewiele?

Tak więc „Figa” zwiędła nam po kilku spektaklach. A może tym razem brak było odgórnego przykazu dla LZG-Kawiarnie? Rozumiem, że w rachunkach nie ma miejsca na sentymenty, że inwestującemu musi się inwestycja opłacić. Ale pamiętam także o prawdziwie starej jak świat, że tylko kultura tania może być kulturą ogólnie dostępną, powszechną. A o taką przecież kulturę wszystkim nam chodzi.

Czy naprawdę mamy do czynienia z problemem nie do rozwiązania? Czy trzeba będzie robić programy mniej ambitne, złożone z tekstów i piosenek starych, tanich, budowane minimalnym nakładem kosztów? Czy w zderzeniu Kasy ze Sztuką ta ostatnia musi ulec?

Jak więc mogą egzystować kabarety warszawskie czy krakowskie, w których występują aktorzy o honorariach nie mniejszych niż gaże łódzkich aktorów? Zasięgnąłem języka w Warszawie i dowiedziałem się, że w jednym z tamtejszych lokali, gdzie także zainstalowano kabaret w przerwie między dancینگiem widzowie nie wykupują dodatkowych biletów, ale na cały wieczór od godz. 18-tej do północy kupują bon konsumpcyjny za 50 zł. A może by tak i w Łodzi? Póki co radzę iść do „Balatonu” obejrzeć „Gagatek” — jedyny kabaret łódzki. Póki jeszcze istnieje.

WASYL KOCZNOW

Święci i grzesznicy

RYSZARDA WÓJCIKA
znają nie tylko czytelnicy popularnych tygodników, ale także — może przede wszystkim — telewizyjni podglądacze rzadkich, niestety, „Portretów”, pamiętliwi kibice niezwykle niegdyś popularnych programów publicystycznych „Bez apelacji”. Wójcik posługuje się w pisaniu tą samą metodą, którą z takim powodzeniem zastosował w pracy z kamerą filmową; w rękach tego reportera mikrofon kamery dźwiękowej potrafi z równym skutkiem jak i długopis rozdrzeć najbardziej intymną ostonę przesłaniającą wnętrze portretowanego człowieka.

„Święci garnki lepią” — najnowsza książka tego autora — reżysera jest fascynującym zapisem literackim takich właśnie telewizyjno-filmowych spotkań reportera z ludźmi, których tytuł niedwuznacznie określa „świętymi”. Czytelnik łatwo odgadnie intencję zawartą w tytule: w życiu trzeba być — mimo wszystko — jeśli chce się czegoś ciekawego dokonać, kimś w rodzaju „świętego”, „nawiedzonego”. Trzeba oddać się jakiejś pasji działania. Działanie, społecznie użyteczny wysiłek — oto nieodzowny atrybut szczęścia, każdej z dwunastu portretowanych przez Wójcikę postaci. Bo tego reportera interesują przede wszystkim ludzie w takim właśnie znaczeniu szczęśliwi, porwali jakąś ideą pasjonaci.

Wójcik pisze o aktorach trupy wodrownej, dając obraz ich morderczego wysiłku na deskach jakiejś nie opalonej świetlicowej sceny, gdy grają rolę „nie można umrzeć, bo upadł nie ma gdzie...”. Stary pilot — emeryt, z rurek i blach odtwarza mozolnie samolot sprzed pół wieku, latający wehikuł swym młodości, bo pisać o swym życiu nie potrafi, a chce „by inni widzieli, jak kiedyś było naprawdę...”. Rzeźbiarz — zegarmistrz, głuchy, niemy, widzący tylko jednym okiem tworzy w drewnie formy, których nigdzie w otoczeniu ujrzyć nie mógł, zmagając się ze swą niemocą bohatersko, rozpaczliwie...

Ustami swoich bohaterów Wójcik stara się wypowie-

dzieć prawdę, która nie brzmi może odkrywco, ale która stale domaga się nowego wcielenia we wzorach żywych, dostępnych naszej obserwacji: aby cokolwiek można było odmienić na tym nie najlepszym ze światów — trzeba wprawdzie odmienić i zbudować siebie.

Wójcik dobrał sobie dwunastu nosicieli tej prawdy, niezłym dwunastu ewangelicznych apostołów — domyślmy się, że jest to z góry ukartowany zamiar i symbol. Czy dobrał postacie „typowe”? Mój Boże!... nie wymyślono dotąd cięższej maczugi do walenia dziennikarza po łbie jak owo domaganie się „typowości”...

Więc powiedzmy sobie otwarcie: autor pokazuje nam postacie „dziwne”, nietłumaczone do odnalezienia w codzienności, na swój sposób barokowo skomplikowane. Jest to jednak dobór celowy: Patrzenie — mówi Wójcik — jak ciekawie i niebanalnie mógłby wyglądać nasz świat, gdyby więcej było takich oto, jak ci, szlachetnych nonkonformistów!

Jest to lektura fascynująca. Smuci, niestety, nakład: za ledwie sześć tysięcy egzemplarzy. Czyżbyśmy mieli na rynku za wiele literatury faktu? Tegich pór, uprawiających temat krajowy w reportażu, mamy, niestety, ciągle za mało.

Oby nam się na kamieniu rozdził tacy podpatrywacze z bożej łaski, depczący nie przetarte ścieżki polskiej prowincji.

* Ryszard Wójcik, „ŚWIĘCI GARNKI LEPIĄ”, „Iskry”, W-wa 1970, cena 15 zł.



EPITAFIUM NA JUBILEUSZ „OSNOWY”

Dalszy ciąg ze str. 3

str. 8

kramentalna formułka, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić przez pierwsze cztery lata: „Wydane z funduszu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — Wydział Kultury”. Nie było to zresztą cofnięcie kredytu zaufania pisarzom. Była to tylko zmiana mecenasa, przerzucenie ciężaru utrzymania „Osnowy” na Wydawnictwo Łódzkie. Ta zmiana okazała się zresztą korzystna, bo nowy mecenas okazał się o wiele hojniejszy. Toteż w okresie dwóch lat, kiedy „Osnowa” podpisana jest przez zespół w składzie: Marian Piechal, Wiesław Jażdżyński, Tadeusz Mrozowski i Tadeusz Papier, wydajnie, bo dwukrotnie zwiększa się częstotliwość ukazywania się poszczególnych zeszytów, wzrasta także nakład do 1500 egzemplarzy. Od tej chwili czasopismo zaczyna zamieszczać reprodukcje plastyczne (Karol Hiller, Tadeusz Roman, Beñon Liberski, Leszek Rózga, Henryk Płóciennik) wzbogacając się o nowy dział, jakże przecież ważny, zważywszy, że Związek Polskich Artystów Plastyków należy do najliczniej reprezentowanych środowisk twórczych Łodzi, a jego ranga wykracza daleko poza granice miasta.

Są to zresztą jedyne zdobycze techniczne, jakie zyskała „Osnowa” w nowej szacie graficznej: podstawowa

słabość, nie rozstrzygnięty status prawny, w dalszym ciągu nie znajdujący swego rozwiązania. Krepuje to inicjatywę i zmusza do dalszej improwizacji, a przecież znowu pisarze redagujący „Osnowę” nie poddają się zwątpieniu. Nowy układ typograficzny pozwala na ściślejsze wyodrębnienie działów, które wypełniają się istotnymi treściami. Mocną stroną „Osnowy” staje się eseistyka obejmująca rozległe dziedziny kultury, chociaż nadal dominuje problematyka literacka. Tak np. Tadeusz Chrościelewski publikuje obszerny, źródłowy szkic poświęcony przeszłości poetyckiej Łodzi, prof. Stefania Skwarczyńska rysuje sylwetkę pisarską Jerzego Zawieyskiego, którego twórczość tak mocno jest związana z Łodzią, Marian Piechal omawia łódzkie motywy w twórczości Reymonta, Stanisław Czernik prezentuje system symboli związanych z kultem ognia, Jadwiga Weber motywy erotyczne w twórczości Lesmiana. Nie zamierzam przekształcić tego artykułu w bibliografię zawartości „Osnowy”, wymieniam tylko niektóre szkice, mnie osobiste interesujące, ale przecież nie można zapominać, że podane tutaj przykłady nie wyczerpują całokształtu poszukiwań problemowych czasopisma. Trudno wszakże pominąć opu-

biłkowane po raz pierwszy w przekładzie polskim właśnie na łamach „Osnowy” eseje tak wybitnych pisarzy jak Albert Camus („Nadzieja i absurd w dziele Franza Kafki”) i Johan Huizinga („Jak terazniejszość staje się przeszłością”). Poszerza się, co jest godne odnotowania, lista współpracowników pozalódzkich. Drukują swoje utwory: Stefan Liचाński, Piotr Kuncewicz, Jan Bolesław Ożóg, Anatol Stern, Waldemar Babinić, Jerzy S. Sito. To zresztą dobra tradycja „Osnowy” zapoczątkowana w pierwszych dniach jej istnienia, kiedy to pismo zasilili swoimi piórami zamieszkałi w Paryżu Jan Brzękowski i Zofia Romanowiczowa.

Niewątpliwie wraz z poszerzeniem zainteresowań problemowych „Osnowy”, wzrasta jej ranga w rodzinie polskich periodyków kulturalnych: częściej bywa recenzowana, częściej także powoływana jest jako przykład na obcych łamach. „Osnowa” nie zgadza się już na rolę rejestratorki zdarzeń kulturalnych, chce w nich mieć swój udział, podejmuje próby dyskusji, głównie w zakresie problematyki teatralnej: „Teatr na prowincji” (Osnowa — Wiosna 1967), „Po sezonie 1965-66” (Osnowa — Grudzień 1966). Pierwsze sukcesy zdecydowały o

tym że zagadnienia profilu i formuły wydawniczej stają się na nowo aktualne. Półrocznik a więc publikacja zbliżona mimo wszystko do almanachu, chociaż mógł już znacznie pełniej niż poprzednio odwzorowywać łódzką rzeczywistość kulturalną, nie był jednak zdolny rzeczywistości tej kształtować. Tym samym wciąż nie mógł zrealizować zadań nakreślonych w programowym wstępie z pierwszego zeszytu „Osnowy”. Aby nawiązać trwały kontakt z czytelnikami czasopismo musiałoby się przede wszystkim pojawiać częściej. I z początkiem roku 1969 słuszne postulaty pisarzy znalazły wreszcie zrozumienie w Wydawnictwie Łódzkim: „Osnowa” stała się kwartalnikiem. Co prawda na prawach szczególnych — jej status prawny w dalszym ciągu nie znalazł rozwiązania.

Rok 1969 miał więc dla egzystencji „Osnowy” znaczenie, którego trudno nie docenić. Właściwie dopiero od tej chwili można mówić o niej jako o periodyku.

Leży przede mną właśnie ośmiesty zeszyt „Osnowy” podpisany przez kolejną, trzecią już w jej krótkiej historii, kolegię redakcyjną w składzie: Jan Huszcza, Mirosław Ostojka Ochocki oraz Marian Piechal. Również i te zeszyty nie są nume-

„Urowadzenie z seraju”

Nieczęsto mamy okazję oglądać na scenach operowych dzieła Mozarta, słuchać pięknej, jedynej w swoim rodzaju muzyki. Zapewne między innymi dlatego, że muzyka Mozarta jest bardzo trudna dla śpiewaków, wymaga szczególnego rodzaju głosu i szczególnie ich ustawienia, dużej dojrzałości muzycznej, precyzyjnej techniki, bezbłędnego wyczucia stylu. Wystawiona dwa i pół roku temu Mozartowska „Cosi fan tutte” wykazała, że Teatr Wielki może wystawić dzieła tego mistrza. Było to świetne pod każdym względem przedstawienie, w którym zarówno soliści jak i orkiestra zaprezentowali sztukę szlachetną i czystą, z wykonawstwem harmonizowały dekoracje i kostiumy, pastelowe, lekkie, bajkowe. Nic więc dziwnego, że na następnego Mozarta czekaliśmy niecierpliwie, obiecując sobie po tym przedstawieniu wiele. Może właśnie dlatego o rozczarowanie nie było trudno. „Urowadzenie z seraju” w żadnym stopniu nie powtórzyło sukcesu „Cosi”.

Sprawiła to przede wszystkim koncepcja inscenizacyjno-reżyserska. Była to — nie po raz pierwszy zresztą w tym teatrze — koncepcja zagraniczna. Do realizacji „Urowadzenia z seraju” zaproszono reżysera holenderskiego, Fransa Boerlage, który podróżuje wiele, realizując opery w Europie, Ameryce Południowej i Afryce Południowej. Być może wybrał dla nas jedną ze swych koncepcji pozaeuropejskich, a my, bądź co bądź, mamy gusty europejskie. Na konferencji prasowej, poprzedzającej premierę, p. Boerlage powiedział, że chce dać pu-

bliczności dobrą zabawę, ale że nic nie będzie odbiegało od wskazówek zawartych w pierwowzorze, że będzie to inscenizacja jakiejś życzliwej sobie Mozart.

Nie zostalam do końca przekonana, że Mozart byłby tym przedstawieniem zachwycony. Nie jestem na przykład pewna, czy podobałoby mu się recytatywy zamienione w słowo mówione. Jak wiadomo, słowo mówione nie jest najmocniejszą stroną śpiewaków. Tylko niewielu opanowało tę sztukę, artykulacja reszty wprowadza na scenę urok dialogów ze sceny operetkowej. Nie jestem też przekonana czy styl muzyki mozartowskiej i styl przedstawienia mozartowskiego wymagały zabiegów inscenizacyjno-scenograficznych w rodzaju niefortunnych figli z drabiną i gruszą. O scenografii można powiedzieć tyle dobrego, że jest funkcjonalna, to znaczy podporządkowana wymaganiom opery kameralnej. Zabrakło jej natomiast konsekwentnej koncepcji, lekkości, wdzięku. Podobnie jak kostiumom (szczególnie nietwarzowym dla obu Konstancji) rozpaczyliwymi w kolorach.

Można też zarzucić „Urowadzeniu” brak konsekwentnej koncepcji reżyserskiej. W przedstawieniu, pomyślanym jako żywa zabawa, para głównych bohaterów: Konstancja — Belmonte jest tragicznie poważna, chwilami jakby wyjęta z oper Verdiego, stojąc sztywno i nieruchomo odśpiewują swe arie, co świadczy zapewne o nieporadności reżyserskiej.

Kierownictwo muzyczne „Urowadzenia z seraju” snoczyła w rękach Mieczysława Wojciechowskiego. Dzięki jego pracy udało

się nam nie zapomnieć, że na scenie wystawiany jest Mozart. Przedstawienie otrzymało podwójną obsadę, również w zespole orkiestrowym, w oba premierowe wieczory grali inni muzycy. Obydwa zespoły są starannie i troskliwie przygotowane, wydaje się jednak, że na drugiej, niedzielnej premierze orkiestra była lepsza, bardziej precyzyjna, finezyjna i bardziej mozartowska.

Dwie obsady otrzymały również partie solowe. W partii Konstancji słyszeliśmy Teresę May-Czyżowską i Irenę Jurkiewicz. Pierwszą pamiętamy jeszcze jako Fioriligi w „Cosi fan tutte” — bezbłędnie, szlachetnie zaśpiewaną partię. Od tej artystki wymagamy wiele, według jej talentu i kunsztu. Wydaje się, że w „Urowadzeniu” mogła pokazać więcej, być może owego duma nie była w swej najlepszej formie. Irena Jurkiewicz zaprezentowała się w dużej partii bodaj po raz pierwszy. Jest to śpiewaczka bardzo kulturalna, o dobrze wyszkolonym głosie i opanowanej technice. Belmonte znaleźli w obydwu wykonawcach: — Romanie Werlinskim i Janie Kunercie bardzo dobrych odwrótców wokalnych, aktorsko nie najlepiej poprowadzonych przez reżysera, niezbyt przekonująco w roli amantów.

Izabella Nawę zaśpiewała i zagrała partię pokojówki Blondy z wdziękiem i temperamentem. Śpiewaczka ta łączy w sobie dwie cenne zalety: czysty, ładny głos, muzykalność, z umiejętnością poruszania się po scenie, sprawnością aktorską. Jej partnerem był Romuald Sychalski (Pedrillo), prezentujący podobne zalety. W tego typu rolach czuje się doskonale, umie nie tylko śpiewać, ale także i mówić. W sumie para ta tworzyła wdzięczny i przekonujący duet. Mniej fortunnie wypadli w tych rolach Janina Hamernik i Adam Duliński. Janina Hamernik nie radzi sobie z mozartowską wokalistyką, Adam Duliński jest w tym gatunku po prostu nieporozumieniem. Nie radził sobie również z partiami mówionymi, których w tej roli jest dość dużo, a które podawał z klasycz-

na manierą operetkową i złą dykcją. Muzyka mozartowska nie jest też chyba specjalnością świetnego w innych gatunkach Antoniego Majaka i wydaje się, że artysta ten nie najlepiej czuł się w roli Osmina, a szczególnie w gimnastyce drabinowej i zbieraniu gruszek, co Stanisław Michoński potraktował mniej dosłownie, z wrodzonym zapewne poczuciem humoru. Osmin Stanisława Michońskiego był jedną z najbardziej udanych partii tego przedstawienia. Śpiewał ten, obdarzony pięknym, nośnym głosem, doskonale opanował technikę mozartowskiej

wokalistyki, z podawanego przez niego tekstu nie umyka ani jedno słowo. Cechuje go też inteligentne, dojrzałe aktorstwo. W mówionej partii Selima, obsadzonej konsekwentnie barytonami, ogładaliśmy Stanisława Heimbergera i Zbigniewa Jankowskiego.

*) „UPROWADZENIE Z SERAJU”. Wolfgang Amadeusz Mozart: libretto: G. Stephanie; kierownictwo muzyczne: Mieczysław Wojciechowski; inscenizacja i reżyseria: Frans Boerlage; dekoracje i kostiumy: Lucja Kossakowska; przygotowanie chóru: Kazimierz Urbanski, Teatr Wielki w Łodzi. Premiera 19 lutego 1971 r.



Fot. R. Fischer — „Ręce”.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Tułaczką australijską

„Jak pies zacznie głośno szczekać albo gryźć, to źli gospodarze przypominają sobie o nim. Psa zwolnią i pies ucieknie. Potem pies zacznie się walać. Wreszcie zacznie się wygłodzony pójść za pierwszym lepszym spotkaniem z człowiekiem. Ten człowiek będzie

jego nowym panem. Panem dobrym albo złym (...) To bajka i prawda o Australii”.

Opowiada ją jeden z głównych bohaterów ostatniej książki Marii Sivińskiej, stary Polak, którego los rzucił na australijski kontynent.

„Drzewa chył się tylko w

jedną stronę” to bardzo smutna, wręcz przygnębiająca opowieść o tułaczym losie młodej Polki w latach sześćdziesiątych naszego stulecia, która przybyła do Australii w charakterze ewentualnej kandydatki na „żonę dla Australijczyka”.

Sytuacja bohaterki z dnia na dzień coraz bardziej się komplikuje, pogłębia się również samotność, samotność istoty czującej i myślącej w zmateralizowanej i zuniformizowanej rzeczywistości. Tok fabularny na tyle jest istotny, na ile uwidatnia owe dramatyczne przeżycia. Bohaterkę trzyma przy życiu nie głód poznania nowego kontynentu, lecz pragnienie jak najszybsze-

go powrotu do ojczyzny. Ciągłe zmieniając pracę i ciągle jej szuka, czuje się zagubiona w społeczeństwie mówiących narzędzi, gdzie wszyscy są niewolnikami pieniądza. Z momentu na moment rozwija się w niej coraz silniej instynkt samoobrony przed wdzierającym się na każdym kroku w jej psychikę światem sity, znieczulenia i przemocy.

Maria Sivińska jest autorką zbioru opowiadań „Dolina pełna wiatrów” (1968), które tematycznie daleko odbiegają od jej pierwszej powieści, gdyż obracają się wokół problemów współczesnej polskiej prowincji. Wzorów pozytywnych ostatejnie książki Sivińskiej należy dopatrywać się przede

wszystkim w sposobie ujęcia tematu niejednokrotnie podejmowanego już w naszej literaturze. Trudno jednak „Drzewa chył się w jedną stronę” zaliczyć do prozy, torującej nowe ścieżki. Autorka postępuje się zbyt bogatym arsenalem przestarzałych środków, aby nadać swej powieści silniejsze znamię oryginalności. Przede wszystkim wyraźnie daje się odczuć brak indywidualizacji języka, przez co wiele osób straciło na ekspresyjności; są one właściwie anonimowe, bez wyodrębnionych rysów charakteru. Również narracja nie jest prowadzona zbyt bogatym językiem. Cała powieść przesycona jest językiem kolokwialnym, słabo

zróżnicowanym; jedynie Czecha jest nieco wyodrębniona dzięki pewnym zabiegom językowym. Ale to jeszcze mało. Zastrzeżeń krytycznych pod adresem książki można snuć więcej. Jest to powieść napisana dość przystępnie, podejmująca ważki problem, ale warstwą autorki świadczy o tym, że jest przeznaczona dla przeciętnie wyrobionego czytelnika. Stąd też wymagania czytelnika przy lekturze „Drzewa chył się w jedną stronę” są bardziej podsycone aniżeli zaspokojone.

*) Maria Sivińska. DRZEWA CHYŁ SIĘ W JEDNĄ STRONĘ. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 164.

rowane, sygnowane są porami roku. Za to na okładce pojawił się znaczący podtytuł: „Literatura — Nauka — Sztuka”. W ten sposób wyraźnie określono kierunek dążeń czasopiśmiennego zainteresowania tematyczne zgodne zresztą z wcześniejszą linią rozwojową „Osnowy”, dawniej „Osnowy” z lat 1963—1968. Na korzyść nowej przemawia to, że realizacja jest już i śmielsza, i pełniejsza. Przede wszystkim „Osnowa” jest w coraz mniejszym stopniu antologią przypadkowych utworów poetyckich i prozatorskich dawny ekлекtyzm ustąpił miejsca świadomie realizowanemu programowi, choć nie wszystkie osie tematyczne reprezentowane są w równym stopniu. Najmniej może odcisnęła swoje piętno nauka, chociaż widać starania redakcji także na tym odcinku. Publikują przecież prace: Antonina Kłoskowska, Edward Rosset, Bolesław W. Lewicki, Jan Lutyński, Władysław Bortnowski. Ukazują się także na łamach „Osnowy” ważne dokumenty literackie: listy Emila Zegadłowicza do Pawła Hulki-Laskowskiego, kulisy nagrody literackiej m. Łodzi 1927—1933. Pojawiają się cykle tematyczne. „Osnowa” w kolejnych numerach prezentuje w polskich przekładach poezję litewską, francuską, azerbejdżańską białoruską,

zapowiada także słowacką. Poszerzyła się znacznie estetyka, choć jednocześnie bogactwo propozycji zacięmiło nieco orientację programową; zjawiska marginalne mają niemal taki sam udział jak zjawiska wiodące. Ta ostatnia uwaga dotyczy zwłaszcza działu recenzji książkowych. Natomiast celowość cechuje recenzje i eseje na temat plastyki (Sylwekwi twórcze: Emil Ukleja, Zdzisław Głowacki, Marian Jaeschke, Albin Lubniewicz, Zdzisław Sikorski, Konstanty Mackiewicz, Henryk Poul'ın). Zdobyla się także „Osnowa” na cykl sylwetek ludzi teatru przedstawiając Jerzego Przybylskiego, Teresę Wojtasię — Kubiak, Stanisława Lapińskiego, Jadwigę Andrzejewską. Pojawily się wreszcie na jej łamach artykuły poświęcone filmowi i muzyce. Nie jest to dorobek mały, nawet gdy uznamy, że nie wszystkie publikacje przedstawiają sobą równą wartość. Tak więc przekształcenie almanachu w kwartalnik przyniosło natychmiast godne odnotowania rezultaty.

Nie znaczy to, że zamierzam tu „Osnowę” idealizować. Daleki jestem od apologii i doskonale dostrzegam także liczne braki, ponieważ podobnie jak jej ukazująca się raz w roku a potem raz na pół roku siostrzyca nie potrafiła nadążyć za wydarzeniami, a

niektóre w ogóle wypuszczała ze swego pola widzenia. Trzeba jednak pamiętać że cykl wydawniczy „Osnowy” trwa 76 dni. Trzeba wreszcie pamiętać, że ciężar redagowania „Osnowy” spoczywał na barkach zaledwie trzech osób, a to bardzo niewiele jak na pismo o tej objętości.

„Osnowa”, ma za sobą dziewięć lat doświadczeń i zmagani. Ale to nie rachunek łat stał się impulsem do napisania tego artykułu, rok przed jubileuszem, na który rad bym się zresztą wprószyć. Co prawda nie tego jubileusza nie zapowiada. W druku znajduje się zeszyt „Osnowy”, który najprawdopodobniej będzie ostatnim, jeśli w międzyczasie na wysokim szczeblu nie zapadną decyzje o przedłużeniu jej egzystencji.

Rzecz w tym, że Wydawnictwo Łódzkie, dotychczasowy mecenas i wydawca periodyku, po redukcjach limitów, jakie w roku ubiegłym dokonywały te zastużona placówka, dłużej nie jest zdolne udźwignąć ciężaru utrzymania „Osnowy”. Dopłata do każdego zeszytu „Osnowy” wynosiła bowiem blisko 100 tys. złotych. Wpływy ze sprzedanych egzemplarzy tylko nieznacznie równoważyły te nakłady.

Nie ulega wątpliwości, że wydawa-

nie periodyku o tym charakterze jest zajęciem kosztownym. Co prawda przy lepszej skalkulowanym nakładzie koszty te można znakomicie obniżyć, pod warunkiem jednak, że czasopiśmienniczo wprowadzone zostanie na rynek czytelnicy bramą frontową, a nie, jak to było dotychczas, kuchennymi drzwiami. „Osnowa” była bowiem rozprowadzana przede wszystkim w sieci księgarskiej, co z góry redukowało jej docieranie do szerszych rzesz czytelnicy. Taki jest zresztą los wszystkich kwartalników.

Toteż rozważając sprawę przedłużenia egzystencji „Osnowy” trzeba z góry pomyśleć o koniecznych przekształceniach modelowych. Osobiście głosowałbym za miesięcznikiem. Dynamiczny rozwój miesięczników regionalnych w ostatnich latach świadczy o tym, że periodyki te potrafią sobie torować drogę do odbiorcy. Miesięczniki społeczno-kulturalne ukazują się dziś właściwie we wszystkich miastach wojewódzkich. Niektóre z tych miast (Kraków, Wrocław) posiadają obok miesięczników tygodniki społeczno-kulturalne.

Wydaje mi się, że to co sprawdziło się w Krakowie i Wrocławiu, sprawdzi się także w Łodzi. Dysponujemy tak ogromną bazą ludzką, że nie grozi nam niedostatek inwencji. Chodzi

tylko o znalezienie mecenasa, który weźmie sobie sprawę ogólnopolskiej trybuny kulturalnej Łodzi do serca. Czy będzie to Wydział Kultury Rady Narodowej m. Łodzi? Czy RSW „Prasa”? Czy może nadal Wydawnictwo Łódzkie w sojuszu z innymi protektorami? Pamiętajmy bowiem że zdanie: „Łódź i jej problematyka zwłaszcza kulturalna, odgrywa tak poważną rolę w skali ogólnopolskiej, że tylko w osnowie spraw ogólnych może uzyskać właściwy swój wymiar, a sprawy ogólne w osnowie spraw lokalnych praktyczny swój sens” — nie straciło swej aktualności. Gdzie są ci odważni, którzy zechcą je zakwestionować? I gdzie są ci szczerzy, którzy sprawią, aby nie brzmiało jak slogan?

KONRAD FREDLICH



Udany debiut Barbary Zydler

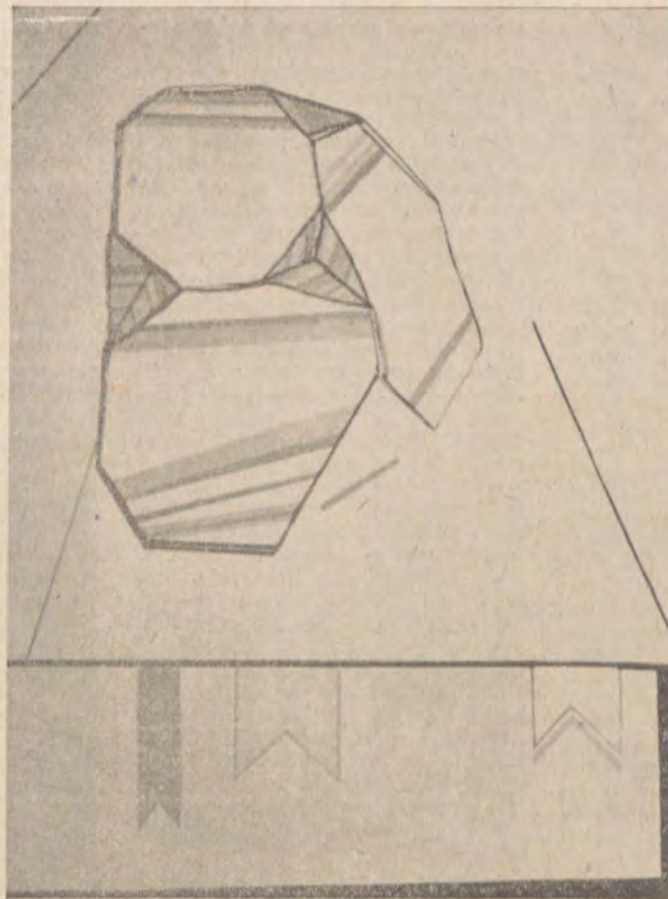
Z chwila, gdy wyczerpały się siły twórcze architektury, gdy zakończył się czas wielkich kreacji a nastąpiły pośpieszne okresy kompilacji i naśladownictwa — rolę wiodącą w dziedzinie sztuk pięknych przejęło na siebie malarstwo — nie z własnej woli i zgoda bez specjalnego entuzjazmu. Na myśl przychodzi, jako żywo, antyczny mit o Atlasie: malarstwo dźwiga po dzień dzisiejszy kłopotliwy ciężar na swych barkach, nie będąc do funkcji tej ani przygotowane ani chętne. Niemniej wszystkim, co w dziedzinie sztuk plastycznych stało się przez ostatnie sto lat, stało się za sprawą malarstwa. Pracownie malarzkie okazały się laboratoriami wszelkich kierunków, prądów i mód. Z nich wzięły początek wszystkie — izmy XIX i XX wieku. Trzeba przyznać, że malarstwo nabrało wprawdy — obecne tempo „produkcji prototypów” jest nadzwyczajne!

W ostatnich dziesięciu latach obraz na pozór klarowny i jednoznaczny, skomplikował się i zdeformował: malarstwo przestało jedynie dawać — zaczęło również brać. Zaczęło się inspirować gatunkami sztuki, dla których do niedawna było wyłącznie wyznacznikiem i wzorem. Obwód został zamknięty. Plansza reklamowa, komiks, grafika użytkowa, fotografia, układ typograficzny, „forma przemysłowa” stały się źródłem inspiracji. Plakat podążający dotychczas za malarstwem osiągnął wpływy i zaczął dyktować warunki. Grafika artystyczna zafascynowana onegdaj malarstwem zwraca mu z kolei zaciągnięte długi. Malarstwo znalazło wzory nawet w tkaniu. Mapa wzajemnych oddziaływań poszczególnych dyscyplin sztuki staje się z dnia na dzień coraz mniej czytelna.

Malarstwo Barbary Zydler może posłużyć jako ilustracja wysuniętych powyżej twierdzeń. Nie jest to przykład

skrajny — po prostu pierwszy lepszy z brzegu. Wpływ plakatu i grafiki reklamowej jest w tym malarstwie wyraźny tak samo jak wyraźny jest wpływ przetrawionego przez ponad czterdziestoletnie próby konstrukttywizmu. Pozorna również jest bezprzedmiotowość tego malarstwa. U źródeł jego powstania leży realna martwa natura — co prawda nie jest to martwa natura z jabłkiem, gitarą i kielichem winogrodu na zdobnej paterze, lecz powtarzający się w coraz do innych wariantach układ brył prostych, brył geometrycznych. Niemniej martwa natura pozostaje martwą naturą niezależnie od tego czy za temat ma pudełko, czy też jarzyny i owoce.

Sposób widzenia i rozumienia rzeczy (Barbara Zydler studiowała w pracowni prof. Stanisława Fijałkowskiego) — skłania ją do podejmowania tematów stwarzających pretekst dla kompozycji klarownej, konstruktywnej i syntetycznej, wolnej od wszelkich baroków, ornamentacji i zdobień. Namalować tylko to, co się chciało namalować w sposób, który wystarcza za ledwie dla identyfikacji zmysłu — bez literatury, bez anegdoty. Ten ascetyzm nie oznacza jednak rezygnacji z estetyki, z dekoracyjności. Przeciwnie malarstwo Barbary Zydler, choć owa dekoracyjność bardziej jest rodem z Malewicza niż z Matisse'a. Bardziej zbliżona do widzenia op-artowskiego niż par excellence malarstwa. Zresztą przypuszczać należy, że malarstwo na płótnach Barbary Zydler traktuje jako swego rodzaju doświadczenie, jako pierwszy stopień wtajemniczenia. Sposób, w jaki maluje, nieodparcie kieruje myśl ku architekturze — bo chyba tam, w dosłownej dyscyplinie podziałów linii i proporcji malarstwo to znalazłoby swoje właściwe miejsce: powiększone do skali też architektury, wykonane w tworzywach syntetycznych, w barwnikach fo-



Barbara Zydler — „Obraz”

sforzujących, pełne galanterii i blasku.

Za takim umiejscowieniem malarstwa Marii Barbary Zydler przemawia również stosowana przez nią kolorystyka. Wąska, lecz wyraźna gama barw rozbita na tony i walory łamie płaszczyznę obrazu, stwarza perspektywy i głębie, wprowadza element ruchu do tego statycznego w założeniach malarstwa. Obraz zmienia się w zależności od oświetlenia i kąta patrzenia odbiorcy. Nie tylko kolor wprowadza zakłócenia na płaszczyźnie płótna. Stosowanie kilku różnych perspektyw w jednym obrazie daje sugestię zmienności: jakby bryły geometryczne ulegały nagłym przesunięciom, jakby porządek i ład panujący w danym momencie, był tylko jednym z wariantów jakiegoś ogólnego porządku i ładu. Działa zasada kalejdoskopu z tym, że sam moment zmiany układu jest niezauważalny dla widza.

Jest poza tym w malarstwie Marii Barbary Zydler jeszcze jeden fakt, na który należy zwrócić uwagę. Otóż jest to malarstwo dekoracyjne pozbawione blażństwa. Blażństwa taniej filozofii i blażństwa udanej radości. Te obrazy nie usiłują nikogo straszyc, pouczac, rozśmieszać, nie usiłują

wdrapywać się na piedestały sztuki intelektualnej, udawać, że pod formą i kolorem kryje się czterdzieści i cztery różnych znaczeń i podtekstów. Spekulatywne, gdy idzie o rozwiązania formalne, wolne jest ono od balastu tzw. „treści”. Może być płaszczyzną dyskusji nad wpływami i źródłami inspiracji, ale nie stara się dawać pseudoprotektów do rozważań nad „istotą bytu” jak czyni to ogromna większość dzisiejszej produkcji artystycznej.

Na marginesie wystawy Marii Barbary Zydler w łódzkim Klubie Dziennikarza.



OBIEKTYW

CZY PAN CHCE RAKA?

Zawód lekarza otoczony jest powszechnym szacunkiem. Co roku tysiące młodych ludzi walczą o indeks w II akademiach medycznych w kraju. Czy wszyscy pragnący poświęcić się temu zawodowi kierują się względami ideowymi, pragnieniem niesienia ulgi w ludzkim cierpieniu?

Na pytanie to odpowiedź nie jest jednoznaczna. Podjęcie studiów w określonym kierunku jest przecież także formą indywidualnego urządzania sobie życia. Wchodzi więc w grę różne kalkulacje, w których marzenia o dobrobyciu, o własnym samochodzie, o samodzielności, odgrywają nie najmniejszą rolę.

A więc brzydki materializm? Niskie pobudki? Nic podobnego. Każdemu człowiekowi przysługuje przecież prawo jak najkorzystniejszego pokierowania swoim życiem. Żyjemy w czasach, kiedy wzniosłe hasła społecznikowskie wolmy zastępować racjonalizmem i zbieżnością interesów. Niech więc lekarzowi dzieje się dobrze, niech w zamian za to służy społeczeństwu według najlepszych swych umiejętności.

To są sprawy poważne, rozgrywające się zarówno w płaszczyźnie materialnej, jak i strukturalno-organizacyjnej naszej służby zdrowia. Liczba absolwentów „akademii medycznych” jest co roku znaczna. Część z nich ubiega się o pozostanie w klinikach akademickich, reszta, pozbawiona ambicji naukowych, trafia do szpitali i ośrodków zdrowia.

Młody lekarz staje więc przed swoistym wyborem. Dokonuje go świadomie, ulegając przy tym pewnym — powiedzielibyśmy — prawom rynku. Istnieją bowiem ośrodki miejskie o dużym nasyceniu, gdzie konkurencja o każdy etat jest bardzo ostra; i małe miasteczka i wsie, gdzie wrota przed początkującym eskulapem są otwarte. Następuje więc naturalny proces odpływu sił medycznych na tzw. prowincje.

Czy potrzebna wobec tego mdła dydaktyka w rodzaju tej, jaka niesie serial telewizyjny „Doktor Ewa”? Brzmi ona trochę jak pouczenie dobrej cioci Eulalii. Nie wierzę w oddźwięk społeczny takiego propagowania służby lekarza na wsi. Nie wierzę również w model lekarza-społecznika serwowany nam przez ładną aktorkę (to nie zarzut!) Ewę Wiśniewską.

Scenariusz serialu (autorka — Wilhelmina Skulska) był już przedmiotem natrząsań się licznych recenzentów i felietonistów. Pomysł rodzimego doktora Kildare w spódnicy spudłował całkowicie. Ze sztyżetek nagrzewających ładne plecy pod lampami kwarcowymi w klinice śmieje się już cała Polska. Podobnie jak z transfuzji krwi dokonanej na szosie.

Niezgrabnie też wypada tytułowa postać „śliczki anno 1970”, czyli doktor Ewy. Z jednej strony to ideal bez reszty. Sama prawda, poczucie misji społecznej, dobroć. Autorzy serialu wiedzą jednak, że bohater bez skazy nie potrafi nikogo porwać. Wobec tego każą dr Ewie być programowo szorstką wobec pacjentów.

Tak więc dochodzi do sceny, w której opanowany kancerofobią pacjent pyta w czasie opatrunku:

— Pani doktor, czy to przypadkiem nie rak?

— Chciałby pani — odpowiada uroczo doktor Ewa.

W tym momencie ideal nasz sygnał broku. W życiu dowcip taki ze strony lekarza zabrzmiłby niekulturalnie, na ekranie telewizyjnym jest skandalem. Co jak co, ale rak jest chyba ostatnim tematem do „dowcipów”!

„Doktor Ewa” mogłoby uratować znakomite aktorstwo bohaterki. Stworzenie typu, który telewizywnie przyjęłoby do swego pocztu „świątecznych”. Nie rukuje, by to groziło Ewie Wiśniewskiej. Trzeba umieć wczuć się w kreowaną postać i przejąć szczerze jej perypetiami. Nie wystarczy chcieć ładnie wyglądać na ekranie i podbić serca starszych panów.

Dostajemy więc na ekranach serial niby przygodowy, w dodatku w opakowaniu, które sugerowałoby, że film coś zatłwiał w sensie społecznym. W efekcie nie wystrzela ani jedno ani drugie. Sensacja zawodzi, dydaktyka adresowana jest nie wiadomo do kogo. Nie, ten serial nie wyszedł Henrykowi Klubie!

Władysław Osiński

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Pierwowzorem bohaterki filmu „PANI AMBASADOR”, Jeleny Kolcowej, jest postać autentyczna. Aleksandra Kollontaj, wybitna rewolucjonistka, współpracowniczka Lenina, od 1923 roku do końca wojny pełniła funkcje ambasadora ZSRR kolejno w Norwegii, Meksyku i Szwecji. Film „Pani ambasador” opowiada o ostatnim, przypadającym na lata 1930—45 szwedzkim okresie dyplomatycznej działalności Aleksandry Kollontaj.

Realizatorzy filmu odejście w nim od autentycznego nazwiska Kollontaj tłumacza zarówno pewną ustaloną tradycją radziecką, która często pierwotnymi postaciami czyniła ukrytym tłem fikcyjnych bohaterów, jak i tym, że film ten nie stanowi pełnej biografii, lecz przedstawia jedynie fragment niezwykle burzliwego i bogatego życia rysy pani Kollontaj. Decyzja ta trochę zaskakuje, tym bardziej, że opowieść filmowa pozostaje, zgodnie z zapewnieniami realizatorów, wierną zdaniem prawdziwym, a jej ramy stanowią dokumentalne zdjęcia z czasów ostatniej wojny oraz wielkiej parady zwycięstwa w Moskwie w roku 1945. No, cóż, nie jest to może aż tak ważne — film pozostaje bowiem interesującą opowieścią o kobiecie niezwyklej, tym lepiej, że prawdziwej.

Z jednej strony opowiada o stosunkowo mało znanych epizodach II woj-

ny, z drugiej — unikając atmosfery filmu sensacyjnego — ukazuje świat działalności dyplomatycznej, tym bardziej interesującej, że prowadzonej przez pierwszego w świecie ambasadora-kobietę, Kollontaj-Kolcową, która nie tylko pokonywała nieufność wobec kraju, który reprezentowała, ale również te, która wynikała z faktu przełamania pewnej tradycji protokołarnej obowiązującej w dyplomacji (przypomnijmy choćby znakomitą scenę pierwszej audyencji Kolcowej u króla).

W osobie Julii Borisowej realizatorzy znaleźli znakomitą wykonawczynię postaci Kolcowej. W jej propozycji aktorskiej zwraca uwagę nie tylko inteligencja i energia bohaterki, ale także uroda, elegancja i wszystkie atrybuty kobiecości, które bez wątpienia Kolcowa umiała traktować również jako elementy swej dyplomatycznej działalności. Stawiając na autentyzm postaci i indywidualności Borisowej reżyser G. Natanson wygrał swój film. Unikał zwykłej w takich ramach atmosfery sensacji na rzecz relacji spokojnej i tym samym wiarygodnej. Na uwagę zasługują w „Pani ambasador” archiwalne filmy dokumentalne, które dostosowane do wymogów panoramy, zachowują znakomite walory techniczne obrazu filmowego.

King-Kong urodził się w 1932 roku w Hollywood i imię jego znane jest poniekąd młotom X Muzy. Na nasze ekrany King-Kong powraca jako kolejny potwór japońskiej serii, która znalazła zupełnie niezwykle uznanie Centrali Wynajmu Filmów. „UCIECZKA KING-KONGA” jest już czwartym z kolei filmem „serii z potworami”, która w japońskim wydaniu stanowić zaczyna samodzielny gatunek filmowy. Jedynym określeniem tego gatunku może być chyba tylko „fantastyczna bzdura”. Filmy te bowiem trudno łączyć z ukształtowanym wcześniej gatunkiem sensacyjno-naukowych filmów, choć przepojone są technocywilizacyjną futurologią. Twórcy owej „serii z potworami”, reżyser I. Honda i specjalista od zdjęć trickowych — E. Tsubaraya łącząc przewidywania rozwoju cywilizacji technicznej z monstrami ery przedpopowej osiagają, zda się, kosmiczny wymiar bzdury, ale jak widać choćby z częstotliwością zakupu ich filmów i na nasze ekrany, trafił na niezłe źródło dochodu. Trudno im się więc dziwić, że kreują coraz to nowe potwory, trudno się natomiast nie dziwić, dlaczego trafiają one i do naszych kin. Trudno spotkać kogoś, kto przy całej sympatii dla Godzilla, Ro-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

dana czy King-Konga lubiłby i cenil ten typ filmowej rozrywki. Wynika to może również i z tego, że są to po prostu nudne filmy, czemu niejednokrotnie najlepsze nawet efekty trickowe nie są w stanie zapobiec.

W „Ucieczce King-Konga” jednakże nawet i tricki zaczynają budzić nasze wątpliwości. Pewien wymiar logiki nawet i w tym gatunku obowiązuje, toteż takie cudenka, jak fakt, iż biedny King-Kong dwoma uderzeniami swej łapy niszczy statek, na którego pokładzie został wcześniej do Tokio przywieziony, musi wywoływać efekty humorystyczne. Uderza przede wszystkim brak proporcji między wielkością potworów a światem ludzi i ich cywilizacją, i to stanowi główną słabość tricków japońskich mistrzów. Nie przesadzajmy zatem z ich znakomitością.

King-Kong w finale filmu powraca spokojnie na swą wyspę, miejmy nadzieję, że jemu i jego towarzyszom dadzą już spokój ludzie zakupujący filmy rozrywkowe na nasze ekrany. Czyż doprawdy nie ma na świecie innych atrakcji filmowych? Dajmy zatem potworom już spokój, a widzom naszym rozrywkę o większych walorach.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ZŁOTOWŁOSA ZELDA

Poznali się na tanecznym parkiecie w Montgomery w stanie Alabama. Piękna, złotowłosa Zelda Sayre miała osiemnaście lat, on, porucznik piechoty — dwadzieścia dwa. Dziś Francis Scott Key Fitzgerald (1896 — 1940) uchodził za jednego z wybitnych pisarzy amerykańskiego naszego wieku, wyraziela tzw. jazz-age, epoki „straconego pokolenia” młodzieży amerykańskiej po I wojnie światowej.



Scott Fitzgerald z Zeldą i dzieckiem

Po dwóch latach znajomości Fitzgerald zenił się z Zeldą w roku 1920. Na jej to postaci modelował późniejszą bohaterki swych powieści — dziewczyny flirtujące z francuskim lotnikiem, który zabawił ją śmiały mirowalucjonalnie i tkiwie. W swej pierwszej powieści pt. „Jeszcze nie w raju” cytował dosłownie fragmenty z listów Zeldy — najbardziej frywolne i najbardziej czułe. Książka stała się bestsellerem, a jej autor zyskał sławę, poczytność, pieniądze. By zdobyć materiał do dalszych książek pisarz zgadza się na najbardziej fantastyczne wybrki Zeldy. „Nie chcę się posta-

wić” — mówiła. „To bardzo proste. Umrzemy dożywając trzydziestki”. Jadąc taksówką siadają na chłodnicy, pakują się o północy, pakuja się o północy, nieproszeni zjawiają się na uroczyste przyjęcie, spici, szcękając i na czworakach. Piją. Piją aż do utraty przytomności.

Przychodzi na świat córka. Niezrównoważona Zelda przez roztargnienie zamiast pociecha dółnem zlamiał życie Fitzgerald wpada w trudności finan-

lu. Zelda oznajmia niespodziewanie któregoś dnia, że ma wykorzystal przy pisaniu książek, jej pamiętniki i listy. Jest więc plagiatorem. Odtąd ona sama będzie pisała na temat swego życia i małżeństwa. Gdy Fitzgerald sprzeciwia się jej pisarstwu, Zelda oświadcza nagłe że została baletnicą. I to sławna baletnica. Cwicy teraz po osiem godzin dziennie.

Wkrótce występują pierwsze oznaki obłądzenia Zeldy. Na wiosnę 1930 roku przeżywa pierwszy atak rozstroju nerwowego. Po dwóch latach choroba psychiczna Zeldy inspirowała do napisania jego ostatniej ukończonej powieści pt. „Czuła jest noc”. W książce z zachwytem cytuje autor listy z kliniki od Zeldy — czule, a zarazem obłądne. Ale i osy życia małżonków Fitzgerald zmierzają już do tragicznego końca. Pisarz jest ruina fizyczna i psychiczna. Dopiero po pięciu latach wraca do pióra. Pięć opowiadań oraz scenariusze dla Hollywood. Umiera w roku 1940 nie dożywszy czterdziestu pięciu lat. Nie ukończył swego ostatniego dzieła „The Last Tycoon” (Ostatni magnat), którego bohaterką była kobieta wzorowana już nie na Zeldzie, która wciąż pozostawała w klinice, ale na gwiazdce filmowej, Shell Graham. W osiem lat po śmierci swego męża Zelda ginie podczas pożaru kliniki.

Kim była Zelda? Dlaczego stanowała tak potężny bodziec twórczy dla pisarza?

Na te pytania stara się odpowiedzieć Amerykanka Nancy Milford, autorka pracy pt. „Zelda: A Biography”. Książka ukazała się w jednym z wydawnictw nowojorskich i zawiera pionierski zeszyci lat pracy autorki, która skrupulatnie zbierała materiał biograficzny dotyczący Zeldy Sayre.

GIORGIO MORANDI

W Muzeum Narodowym Sztuki Nowoczesnej w Paryżu odbywa się wystawa dzieł włoskiego malarza Giorgio Morandi. Po raz pierwszy eksponowano jednocześnie tyle dzieł tego artysty: 78 obrazów olej-



Giorgio Morandi: Martwe natury

nych, 15 akwarelowych, 14 rysunków, 50 dzieł graficznych. Pozwala to prześledzić od roku 1911 do 1963 drogę twórczą tego ciekawego, choć mało znanego artysty.

Morandi urodził się w Bolonii w roku 1890 i nigdy na dłużej nie opuścił swego rodzinnego miasta. Przez lat piętnaście był nauczycielem rysunków w szkole. Pasją jego życia było malowanie butelek i wazonów, toteż określa go się jako malarza tych właśnie przedmiotów. Cichy i skromny, żył ze swymi trzema siostrami niemal jak pustelnik, po to by wyczerpywać na swych płótnach barwne kompozycje z najprostszymi przedmiotami. Kiedy pewien dyrektor jednego z muzeów amerykańskich kupował jego obraz Morandi zaproponował tak niską cenę, że ów nabywca zaprotestował.

Malarz, nie rozumiały powodu wahania dyrektora, powiedział: „Ach, kiedy mowa o pieniądzach staje się nerwowo. Jeśli pan kwestionuje cenę obniżam ją o połowę”.

Na twórczość Morandiego wywarły przemożny wpływ martwe natury Cezanne'a. Przez jakiś czas Morandi pozostaje pod urękiem „metafizycznego” malarstwa Giorgio de Chirico, próbuje następnie pejzaży, lecz wreszcie całą duszą oddaje się malowaniu swych ukochanych waz i butelek. Umieszcza je w rozmaitych ukladach, nie odiera z kurzu, by wyglądały bardziej naturalnie, zmienia oświetlenie, bawią go obłe kształty tych przedmiotów, kiedy pewien dyktor jednego z muzeów amerykańskich kupował jego obraz Morandi zaproponował tak niską cenę, że ów nabywca zaprotestował.

mu kierunkami w sztuce. W czasie gdy Mondrian, Klee, Kandinsky, Picasso wstrząsają podstawami malarstwa, pracowity Morandi zawsze pozostaje malarzem butelek i wazonów. Umiera w roku 1964 w rodzinnej Bolonii.



Giorgio Morandi: Autoportret

ZMARŁ FERNANDEL

Zmarł jeden z najbardziej popularnych także i u nas aktorów filmowych, Fernand Constantin znany jako Fernandel. Urodził się w roku 1903. Występował w ponad 150 filmach. Słynną, niezapomnianą jego kreacją jest postać księdza w filmach o don Camillu. Przypomnijmy, że filmy te zostały nakręcone na podstawie zabawnych opowiadań włoskiego pisarza Giovanni Guareschi. Fernandel poczuł się źle w lecie ubiegłego roku podczas nakręcania filmu także z serialu o don Camillu. Musiano przerwać pracę. Jak się okazało aktor chorował na raka.

ZMARŁ RAOUL HAUSMAN

W wieku lat 84 zmarł w Limoges malarz i pisarz, dadaista Raoul Hausman.

Urodzony w Austrii przeniósł się do Paryża w roku 1936. Znany jako przeciwnik faszyzmu, Hausman w roku 1940 musiał się schronić przed hitlerowcami. Przeniósł się w okolice Limoges, gdzie ukrywał się do końca wojny. Po wojnie nie powrócił już do Paryża, mieszkając pod Limoges.

ZMARŁ LEONID SOBOLEW

W wieku lat 73 zmarł znany pisarz radziecki Leonid Siergiejewicz Sobolew. Wiele lat był oficerem marynarki wojennej. Toteż praca, walka i życie na morzu były tematem jego twórczości. Debiutował w latach dwudziestych opowiadaniem pt. „Sprawa Szynitina” i „Konieczność historyczna”. Rozgłoszyskał swą powieścią pt. „Kapitałny remont” w której przedstawił narastanie

nastrojów rewolucyjnych w czasie I wojny światowej. Do wybitnych dzieł wydanych po wojnie należą m. in. powieść „Zielony promień” i dalszy ciąg „Kapitałny remont”.

NAGRODA LITERACKA „OKROPNYCH DZIECI”

Nagroda literacka nosząca dość dziwną nazwę „Le Prix des Enfants terribles” (okropnych dzieci) ufundowana przez Jeana Cocteau i panią Andrée Peyrand przyznawana jest co roku za najlepszą książkę pisarki lub pisarza, którzy nie przekroczyli trzydziestego roku życia. W tym roku nagrodę „Okropnych dzieci” otrzymała Béatrice Privat za powieść pt. „Vergers de février” (Sady w lutym). Autorka urodziła się w roku 1950 w Clouslat i jest obecnie lektorką w jednym z wydawnictw paryskich.

Bez strachu

ZABIJALNIA

Nigdy nie byłem w Zabijalni — nie podano mi adresu — nie zaproszono mnie, a przecież ludzie z Zabijalni podchodzą niekiedy do mnie, o to czy o owo proszą, o to czy chcą świadczyć. Stoją sobie na Piotrkowskiej, oglądam wystawę z tezkami (zawsze pragnęłam mieć taką szczególnie okazałą, pojemną i piękną) — nagle ktoś dotyka mojego ramienia. Patrzę. Ktoś jest nie ogolony, pijany, dziki, gotów na wiele, jeżeli nie na wszystko (co wcale nie znaczy, że wiele czy też wszystko potrafi). „Panie! — szepce Ktoś (stwierdzam, że ma silny niezbyt oskrzeleli) — „Panie, daj pan dwa złote na tramwaj do Ozorkowa”. Wyciągam portmonetkę, głęboko rozumiem tego człowieka, jazda tramwajem była w czasach mojego dzieciństwa jedną z największych rozkoszy dzieci łożysk: wsadaliśmy do „0” (zero), gdzie za parę groszy można byłojechać najdłuższą trasą dookoła Łodzi — wiele godzin, a nawet dni szkolnych spędziliśmy, zupełnie nie rozumiejąc cudacznych rzeczy, które kazano nam wykonywać w szkole, na jeździe zerem („0”). Tak, tramwaj był wielką rzeczą, a jeszcze dzisiaj, zwłaszcza do Ozorkowa. Jakże chętnie rzuciłbym pióro, odszedł od wystawy i pojechał tramwajem właśnie zatłoczonym, właśnie zamym i brudnym — mając przy boku owego Kogoś, zaróżnionego, pijanego, dzikiego, nieprzytomnego, gotowego na wiele lub na wszystko. Ktoś wejrzał do wnętrza mojej otwartej portmonetki. „Panie! — powiedział — „daj pan jeszcze pięć złotych — zjem zupę przed jazdą”. Dałem komus jeszcze pięć złotych (sam chętnie zjadłbym zupę przed jazdą do Ozorkowa) i wtedy zrozumiałem, że Ktoś jest z Zabijalni. Ziapał mnie za ramię i powiedział: „Zabiję, zabiję każdego, kto pana krzywdzi, zabiję każdego, kto pana kiedyś skrzywdził, zabiję, niech pan pamięta, zabiję”. Spojrzałem Komus w gotowe na wszystko oczy. „Zabiję” — powiedziałem — „łatwiej, wybaczyć trudniej, dużo trudniej. Zabiję, to rzecz mała, udratyzowana nam przez literaturę złą, a także, niestety, dobrą. Natomiast wybaczyć — to rzecz wielka, to rzecz trudna, godna człowieka, godna stu-procentowego mężczyzny”. Ciągłe trzymał „zabiję, każdego zabiję” — krzyczał — „każdego, kto kiedykolwiek pana skrzywdził...”. „Niech pan wybaczy” — powiedziałem. Zapewne Ktoś był żebrakiem, ale nie był to zwykły żebrak, był to żebrak z Zabijalni. Zwykły żebracy, to żebracy Boga, oni za jałmużną odpłacają się błogosławieństwem lub modlitwą (obietnicą modlitwy — nie wiem, czy szczerą, nie wiem wykonaną do Pana Jezusa, do Najświętszej Panienki). Zwykły żebracy odwołują się do naszego „Dobra”. Ktoś był żebrakiem Szatana, odwoływał się do mojego „Zła”, dziękował mi za datkę wzięją zbrodni, zbrodni, którą stawał ponad zbawienie. Wierzył w moje „Zło” tak jak w Szatana i Boga, wierzył w nie mocniej — tak jak w gorącą zupę, jak w bilet tramwajowy do Ozorkowa.

BERNARD SZTARNERT



NIE UZGODNIONY FELIETON

IRONIA CWIEKA — NASZE CIEGI — „CO TO SIĘ DZIAŁO?” — FELIETON CZY BIULETYN? — RACJE TRZEBA UZGODNIĆ! — „W DOBRY DZIENNIKARZ — UZGODNIONE Z SUMIENIEM.

Pisząc o chorobie „uzgadniania” napisał niedawno Cwiek, mój sąsiad z dwunastej strony: „tylko jeszcze felietonów z takim uzgadniać nie trzeba”. Rozumiem gorzką ironię Cwieka, ale trudno mi się z tą opinią zgodzić. Otóż według wielu, bardzo wielu ludzi i felietony należy uzgadniać! Jeśli tego nie robimy — i Cwiek i ja — to już nasz w tym upór, nasze silne nerwy i nasze ciegi, które otrzymujemy z prawa i lewa.

O ileż mielibyśmy — my dziennikarze i publicyści — spokojniejsze życie, gdybyśmy posłuchali dobrych rad zwolenników uzgadniania. Ale cóż robić, że czasem mamy własne zdanie,

że chcemy wyrazić opinię obiektywną, nieskażoną funkcją dyrektorską, opinię zwykłego człowieka?

Napisałem kiedyś felieton krytyczny o łódzkiej komunikacji, która, jak powszechnie wiadomo, daleka jest od doskonałości. Sam jeżdżę lata całe tramwajem i autobusem, słucham opinii współpasażerów, obserwuję to i owo — więc napisałem bez uzgadniania.

„Co to się działo, co się działo” — jak śpiewa Wojciech Młynarski. Jakis pan, którego w młodości nie zdążyłem wychować nawyzywał pod moim adresem, ile wziecie. Ponieważ piszę w tygodniku z podtytułem „kulturalny” nie mogę tych słów przytoczyć. I to nie

były epitet pod adresem publikacji, tylko — oczywiście — pod adresem autora.

Potem mi powiedziano, że powinienem swój felieton wplew uzgodnić, a unikającym wyzisk. Być może, tylko wówczas publikacja prasowa przypinałaby urzędowy biuletyn, a ja sam nadawałbym się raczej do redagowania gazetki ściennej MPK, a nie do pracy w prasie.

Niedawno dowiedziałem się, że popełniłem nowe przestępstwo. Publikując w tym miejscu felieton „Książka w sieci księgarskiej” nie uzgodniłem mojej opinii z kierownictwem jednej z zainteresowanych instytucji. Fakt, że moja opinia pokrywała się z opinią ogromnej rzeszy księgarzy, nie miał, oczywiście, żadnego znaczenia wobec faktu niezgodnienia mojego zdania na szezeblu oficjalnym i gabinetowym. Potem zresztą okazało się, że podobnie co ja wątpliwości, mieli członkowie Sejmowej Komisji Kultury, a decyzja, którą krytykowałem, została wstrzymana... Nie przeszkodziło to, rzecz prosta, rzucić gromy na felieton i

autora, któremu ostatecznie można wybaczyć, że ma rację, ale nie można wybaczyć, że tych racji nie uzgodnił.

Przypominam sobie taki rysunek. Przed fortepianem siedzi człowiek, w jednej ręce trzyma słuchawkę telefonu. „A teraz — pyta — w który klawisz uderzyć?” Gdybyśmy się upodobili do tego człowieka z rysunku — publicystyka przypinałaby raczej kłódkę muzykę, lecz nie dźwięczalaby żadną prawdziwą melodią. Bijąc się w pierś, trzeba przyznać, że też i tak bardzo często bywa.

Nie mam, oczywiście, zamiaru wybielać siebie, wcale nie jestem taki doński kozak, nieraz się złamię — i uzgodnię. I rzecz nie w tym, że uzgodnię, lecz w tym, że się złamię. Bowiem ostateczne uzgadnianie bywa nieraz potrzebne, kiedy nie jest do końca pewnym własnej opinii, kiedy się ma więcej wątpliwości niż pewności... Ale że jest, jeśli uzgadnianie totalne i w każdej sprawie staje się stylem obowiązującym, normą postępowania, nakazem — przed którym — mając własne zdanie, trze-

ba się ugłęb i złamać. I to bez względu na to, czy piszę o sprawach ogólnych i fundamentalnych, czy o dystrybucji piętuski. Wówczas zamiast melodii słychać kłódkę muzykę, której nikt nie może zrozumieć.

Pisze Cwiek, że „dobry” dyrektor to taki, który najdrobniejszą nawet sprawę uzgodnił piętro wyżej. Rozumiem tę ironię, bo przecież wiem, że „dobry” dziennikarz w opinii gabinetów i biurów, to także ten, który uzgodnił nawet wzmiankę o niewyodróżnieniu puszek na śmieci w ośrodku Zubardz...

Jeśli miałbym w tej krótkiej refleksji postawić sobie jakieś zadanie na dziś i na jutro, to chyba właśnie to jedno. Żeby to, co piszę, było zawsze uzgodnione z moim własnym odczuciem sprawy, zgodne z moją wiedzą o problemie, zebraną od ludzi, a nie od biurów, uzgodnione z moim poczuciem odpowiedzialności za słowo drukowane. Wbrew pozorom nie jest to wcale łatwe zadanie. Ale „uzgadniać” byłoby w wykonaniu tego zadania wątpliwa pomoc.

Jerzy Widok

NIEBEZPIECZNA GRA

Błysnął białymi zębami, gdy do mnie mówił: — Zabijam dla pieniędzy a także dla przyjemności. Proszę to zapisać, doktorze.

Zanotowałem kilka słów na kartce papieru, a potem zwróciłem oczy na pacjenta.

— Pan mi nie wierzy? Myślałem, że pan już może określić mój charakter.

Don był mężczyzną młodym, delikatnym ze zwisającymi ramionami. W prawej kieszeni jego marynarki coś sterczało. Na chwilę drgnęło mi pióro w ręce. Rzekłem: — Proszę mi opowiedzieć dokładnie jak przebiegają pańskie myśli i w którym momencie pojawia się niepokojona chęć zabijania.

Mówił tonem obojętnym, zawodowym. Przez chwilę przyglądał mi się natręcznie a potem poczęstował mnie papierosami. — Niech pan spróbuje, uspokajają nerwy.

Uśmiechnąłem się uprzejmie i wziąłem papierosa.

— Czy mogę uważać pana za przyjaciela? — zapytał.

— Oczywiście.

Spojrzał nieufnie na metalowe pudło z kartoteką. — To jest moja trzecia wizyta, mam nadzieję, że pana nie zanudzałem zbyt, doktorze.

— Co też pan mówił! Lekarz jest lekarzem, a pacjent pacjentem.

— O, na pewno pana nudziłem — roześmiał się. — Opowiedziałem panu tylko mało znaczące epizody z mego dzieciństwa. Lecz zapewniam pana, że dziś się pan nie nudzi...

Odkryłem, że zabijając, to rzecz najprostszą w świecie. Strzał z rewolweru i koniec.

Jego niebieskie oczy obserwowały przenikliwie moją reakcję. — Zabijanie ludzi rozwiązuje mi problemy finansowe. Pochodzę z dobrej rodziny mieszczańskiej, otrzymałem średnie wykształcenie. Lecz nie więcej.

W ostatnich sześciu latach zabiłem jedenaście osób. Przed zabicim lubitem porozmawiać z nimi, obserwować wyraz ich przerażonej twarzy.

Wciągnąłem kilka kłębow dymu. Trzymając znów pióro w ręce zapytałem: — Ile panu zwykle płacą?

— Zależy od pozycji skazanego i możliwości finansowych

klenta. Na ogół od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów.

— Rozumiem. A gdy ofiara zorientowała się, że chce ją pan zabić, czy nie próbowała dać większej sumy, żeby ocalić życie?

— Ależ tak! Proponowano mi wielokrotnie wyższe sumy od tych, na które godziłem się z klientem. Lecz nigdy nie uległem pokusie, jestem człowiekiem honoru.

Zapisałem to w swoich notatkach.

Don spojrzął na zegarek. — Jest teraz pół do piętej. Możemy jeszcze rozmawiać pół godziny.

— Dobrze. Proszę mi opowiedzieć o swych ofiarach, czy byli to mężczyźni, czy kobiety?

Zamyślił się na chwilę. — Mężczyźni i kobiety, to obojętne.

— A klient? — Zawsze kobiety. Poznawałem je w towarzystwie, na różnych przyjęciach.

Przerzuciłem moje notatki. — Proszę mi powiedzieć, czy pan dobrze syta?

Uśmiechnął się z odcieniem ironii. — Chciałby pan wiedzieć, czy mnie dręczy śmiecie? Nic a nie. I także moje ofiary nigdy mi się nie przyśniły.

— To pytanie nie odnosiło się do zabitych osób — objaśniłem spokojnie. — Myślałem o koszarach, kiedy człowiek krzyczy w czasie snu, budzi się nagle... Don ożywił się. — Nigdy nie śnię — krzyknął. — Nigdy!

Kontynuowałem badanie. — Pan jest najmłodszy w rodzinie, prawda? Ma pan trzy siostry. Przypuszczam, że w takich warunkach współżycie jest trudne.

Błysnęły mu oczy. — Dlaczego trudne?

— Chłopiec kierowany przez matkę i trzy siostry, to na pewno nie jest przyjemna sytuacja.

— Nigdy tego nie powiedziałem! — krzyknął wściekle. — Bo gdy nawet usiłowały mną rządzić, zawsze się buntowałem. Teraz mieszkam sam, w wynajętym pokoju, piję i palę, kiedy chcę i ile chcę, nie potrzebuję nikogo słuchać!

Pochyliłem się w jego stronę.

— Czy mogę poprosić o drugiego papierosa?

Zdziwiony podał mi papierosnicę. Zapaliłem mrużąc z zadowoleniem: — Naprawdę wyśmienite!

Ucieszył się z pochwały. — Sam je robię według specjalnej mieszanki mego pomysłu. Czy nie wydają się panu za słodkie?

— O, nie! Smakowałyby każdemu mężczyźnie, kobietom — nie. Jak pan mi już mówił, ojciec zmarł wczesnie. Co pan o nim pamięta?

— Właściwie bardzo mało. Był dobry i cierpliwy. Biegłem do niego gdy na mnie krzyczył...

— Gdyby żył jeszcze byłby prawie w moim wieku, czy tak? — zapytałem łagodnie.

— Przypuszczam, że tak — odpowiedział przyglądając mi się z napiętą uwagą.

— Czy pan zapomniał, kiedy o imieniu swojej matki?

— Owszem, jeden raz. Ona... — Zrobiła panu scenę? Posypały się wyrzuty, że pan jest niewdzięcznikiem, egoistą?

Nie odezwał się. Na jego czoło, pojawiły się krople potu.

— A siostry? Czy nie zapomniał pan o ich rocznicach? O podarkach świątecznych?

Oczy mu błysnęły złowrogo. — Jedną z moich sióstr zmarła. Zdarzył się wypadek.

Spróbowałem innego manewru — Czy to ona była pierwszą ofiarą?

— Proszę o tym nie mówić! Głos mu się załamał. — Doris nie liczy się. Nie chciałem jej zabić! Byliśmy sami tego dnia, a ona bezustannie czyniła mi wyrzuty. I wówczas...

— Czy były nieprzyjemności z policją?

— Nie, uwierzyli moim wyjaśnieniom. Powiedziałem, iż czyściłem rewolwer, nie wiedziałem, że jest nabity... Poszło tak łatwo... — Przerwał i spojrzął na zegarek. — Już jest piąta.

— Proszę mówić dalej, mamy jeszcze kilka minut.

Uśmiechnął się. — Doktorze, czy pan wie, dlaczego tu przyszedłem?

Przerzuciłem szybko moje notatki, nie odpowiadając na pytanie. — Jeszcze jedna sprawa — rzekłem. — Pańskie siostry miały zapewne nieprzyjemny, ostry głos...

— Tak, tak mi się wydaje. Ale jakie to ma znaczenie?

— Czy pan jest dalej posłusznym matce i siostrze?

Potrząsnął przecząco głową. — Już panu powiedziałem, że jestem człowiekiem wolnym, zupełnie wolnym! Proszę słuchać, nie przyszedłem tu jako pacjent, chciałem dowiedzieć się od pana pewnych rzeczy... Tak się złożyły okoliczności, że wiem już niestety. W domu moich przyjaciół spotkałem pańską żonę, kobietę jakich mało, przyrzekłem jej pomoc.

— Doris, pańska siostra — po-

wiedziałem szybko — ciągle panu rozkazywała i pan musiał być posłuszny, prawda?

— Już jest późno, doktorze, po piątej. — To mówiąc wsunął rękę do prawej kieszeni marynarki.

Wstałem i odwróciłem się do niego plecami, aby zbliżyć się do okna. Zegar na wieży wybił kwadrans po piątej. — Czas tak szybko przeleciał, że nawet tego nie zauważyłem — rzekłem. — Rozmowa była bardzo interesująca.

— Naprawdę? — W jego głosie czuło się zadowolenie z pochwały.

Skinąłem głową. — Zwykle moi pacjenci są straszliwie nu-

dzolności zawodowe i załmsceni. Jest mi przyjemnie, że pana poznałem, Don. Może zostanie pan dziś u nas na kolacji? Sądzę, że moja żona jest teraz w domu, muszę ją zawiadomić, że mamy gościa.

— Wiem, gdzie jest w tej chwili pańska żona — przerwał z miłym uśmiechem. — Jest u przyjaciół, którzy w potrzebie mogliby zaświadczyć.

— Czy to razem wykombinowaliście ten żarcik?

— Zgadł pan! Pańska żona jest czarującą kobietą!

Staratem się mówić powoli i spokojnie. — Owszem, takie jest pierwsze wrażenie, lecz czy

się, że pan żąda za zgodę na rozwód miliona dolarów.

Wybuchnąłem głośnym śmiechem. — Milion dolarów? Ona nie posiada ani jednego własnego centa!

Don zadrżał. — Ależ jest jedną z Trentów, a wiadomo, że to rodzina milionerów!

— Niestety, nie ta linia Trentów, do której należy moja żona.

— A jednak mieszkać we wspaniałym domu, w książęcej niemal posiadłości!

— Obawiam się, że pod koniec roku będziemy musieli sprzedać do wszystkiego. Dlaczego mężczyzna się żeni? Mówi się wiele o miłości, a później... — Przetarłem oczy jakbym chciał odpędzić zmęczenie. — Gdy pan mi opowiadał o matce, o siostrach, myślałem o mojej żonie. Są niezwykle do siebie podobne. Może nawet żona jest podobna fizycznie do którejś z pańskich sióstr? Do Gladys? Lecz chyba więcej przypomina Doris. Proszę pomyśleć.

— Nie wiem, może jest podobna do Doris...

— Ten sam głos, prawda? I ta mania rozkazywania od rana do wieczora. Czy tak było z Doris owego dnia? Wydała panu rozkaz pewna, że zostanie wypelniony bez protestu. Także i moja żona chciała wy-

kazać swoją władzę nad panem. Lecz pan jest mężczyzną inteligentnym, a nie biernym narzędziem rozhisteryzowanej kobiety... Moje życie, Don, było życiem samotnika. Szczerze podziwiam pana, Don, umiał pan stawić czoło ciernistym problemom... pańska matka, siostry... potrzebna tu jest wyjątkowa odwaga!

Gdy zaczął teraz mówić jakal się jak dziecko. — Proszę nie wierzyć, że jestem silny, energiczny. Doris zawsze mi mówiła...

Zaprzeczyłem energicznie. — Nie, Don, jest pan prawdziwym mężczyzną, odważnym, jakich rzadko się spotyka.

Uśmiechając się bojaźliwie zapytał: — Czy mogę wrócić do pana, doktorze?

— Zawsze, proszę uważać mnie za swego przyjaciela.

Zarwał się na równe nogi. — Także i pan może być wolny od swych trosk, doktorze!

— Obawiam się, że nigdy...

— A ja mówię, że tak. Zobaczy pan, to będzie niespodzianka!

W progu odwrócił się. — Idę teraz tam, do moich znajomych. Zatelefonuję wieczorem.

Gdy wyszedł, zamknąłem drzwi na klucz. Był to gest automatyczny, wiedziałem, że nie mam się już czego obawiać. Wyciągnąłem się na tapczanie i, marzyłem o milionach Trentów, które niedługo będą do mnie należały...

Oprac. A. S.



Rys. Horwath Peter

dnia, lecz pan jest ich przeciwnikiem. Zrozumiałem zaraz, że nie przyszedł pan w charakterze pacjenta. Jest pan osobą dojrzałą, zrównoważoną, a nie psychopata.

Teraz już mogłem się odwrócić. Siedział z rękami złożonymi na kolanach, całym ciałem wysunięty ku mnie, jakby czekając na moje słowa, słowa, których nikt mu dotąd nie mówił. Uśmiechnąłem się zycielwie i ze zrozumieniem. — Być może chciał pan zbadać moje

pan zauważył jej głos? Bystry obserwator jak pan musiał zwrócić uwagę na ten głos przenikliwy i ostry. Przypomniał pan sobie?

Skinął głową. — Tak, i ja to zauważyłem.

— Zapewne panu opowiedziałam o mnie jakąś fantastyczną historię, często to robi. Niech pan mi powie, może to coś nowego, o czym jeszcze nie słyszałem.

Przez chwilę wahał się. — Dobrze, powiem. Zwierzyła mi



Lewym okiem

DOŻYWIANIE GWIAZD

Szanowni Czytelnicy zauważyli zapewne, że na tym miejscu nigdy jeszcze nie było mowy o sporcie. No cóż, nie można interesować się po równi wszystkim bez wyjątku. Nie czytuję kolumn sportowych ani tym bardziej pism, poświęconych wyłącznie sportowi. Nie mam zielonego pojęcia, czy skok 4 metry o tycze to dużo czy mało, nie orientuję się w skomplikowanym kontredansie nazwisk działaczy, mistrzów, trenerów. Nie czuję się z tego powodu upośledzony intelektualnie ani towarzysko.

Krańcowo do sprawy podchodząc myślę, że należałoby rozróżnić dwie zasadnicze koncepcje sportu. Jedną to ta, że sport to widowisko, cirkenses, a od strony czynnego uczestnika jeszcze jedna forma popisu, walki, współzawodnictwa. Popisu efektownego i bazującego na wyjątkowej właściwości zawodnika. Jeden polyka ogień, drugi stoi na głowie trzy dni, trzeci skacze osiem metrów w dal. Wszystkim trzem

biją brawo tysiące widzów, z których żaden nie potrafi polykać ognia, stać na głowie i skakać jak kangur. Podziwiają więc wyczyn, dla nich nieosiągalny, wcale przy tym nie ubolewając nad sobą. Przeciwnie — zapłacili za to, żeby ktoś się wysiłił i rozrywał ich swym rzemiosłem — tak, tak, rzemiosłem — wcale znów nie takim zazdrości godnym.

Druga krańcowa koncepcja to sport nie wymagający widowni, coś w rodzaju uszlachetnionej higieny, wzbogacającej o element przyjemności, zabawy, rozrywki jak najbardziej czynnej i osobistej.

Pierwsza koncepcja — to sport wyczynowy. Druga — sport powszechny. W rzeczywistości żadna z nich nie może obejść się bez tej drugiej, ale właśnie o to najistotniej chodzi, któremu członowi damy pierwszeństwo: czy sport wyczynowy mamy popierać po to, żeby zachęcić masę do powszechnego uprawiania kultury fizycznej, do podniesienia sprawności fizycznej mas, do skłonienia milionów ludzi, aby zajęli się szlachetniejszymi formami rozrywki niż pivo na stołeczka przy kioskach, — czy też sport masowy użnać tylko za bazę rekrutacyjną dla świetnych gwiazdorów, reprezentujących nasze niewyżyte ambicje na stadionach świata?

Wydaje mi się, że w chwili obecnej na całym świecie, a co najważniejsze — także i u nas zbyt mocne akcenty położono na wyczynowość. Wychowanie fizyczne awansowało do rangi nowej dyscypliny naukowej, kończy się specjalne wieloletnie studia, otrzymuje magisteria i doktoraty. A w szkołach dzieci gimnastykują się dwie godziny na tydzień, a całymi miesiącami — wcale. Na całą wielką Łódź są dwie czy trzy czynne ślizgawki, w siatkówkę nikt nigdzie nie gra, godziny wychowania fizycznego w szkołach są

najchętniej wykorzystywane na wszystko inne. Nasza młodzież wcale nie jest wysportowana, jest tylko rozportowana, co rozumieć jako biernie hazardowanie się wyczynami gwiazd i gwiazdorów sportu, będących naprawdę, par excellence, zawodowcami.

Gwiazdy były zawsze rozpieszczane, kapryśne, chimeryczne. Jakoś łatwiej godziły się z tym zjawiskiem, kiedy dotyczyły aktorki, amanta filmowego, śpiewaczki lub modnej modelki z okładek światowych magazynów. Gorzej, gdy dąsać się i stroić miny zaczynały młotaczki oszczepem, bramkarze, bokserzy wagi ciężkiej i saneczkarki. Sport ma przecież hartować ciała i dusze. Wiele ciał i dusz przehartowano widocznie, skoro została z nich nerwicowa, rozkojarzona, pozbawiona jakiegokolwiek samodyscypliny magma. Zbyt już często, doprawdy, czytamy o zawieszeniach asportowców w ich prawach klubowych, o ich rozbisurmanieniu. Otrzymałem list od jednego ze starszych działaczy sportowych o tym, że klub zabezpieczył przyzwoity był pewnym swoim członkiem, zasilił ich kieszenie „na dożywianie”, a oni — niewdzięczni — poszli przed zawodami na nocne życie i stracili kondycję. Co za historia! Czy bez dożywiania byłiby głodni, czy też tylko niezdolni do kopania piłki? Czy wszystkich naszych mistrzów trzeba dożywiać klubowo, żeby mogli być mistrzami? Czy tylko mistrzom sportu przynależny jest zapewne przyzwoitego bytu?

Nie, pan ma rację, mój Szanowny Korespondencie: myśmy sobie inaczej kiedyś wyobraźali sport. Zostawmy to. Chodźmy lepiej na zwykły spacer, czyli po sportowemu: na marsz terenowy. Dla zdrowia to lepsze i nie obciążają klubowych kieszeni.

ĆWIEK